WTOREK Nr 19 85-02-12 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW





Jeśli nie wiesz – spróbujemy Ci doradzić

Już pojutrze, we czwartek 14 lutego b.r., uruchomimy naszą telefoniczną poradnię zawodową. Przy redakcyjnym telefonie:

214-706
(Warszawa)

w godz.
15.30-17.30

dyżurować będzie psycholog, z którym będziecie mogli porozmawiać o wyborze zawodu, a co się z tym wiąże i odpowiedniej dla siebie szkoły ponadpodstawowej; o warunkach przyjęć, egzaminach itp.

Nasza telefoniczna poradnia czynna będzie przez miesiąc w każdy wtorek i czwartek.

Zaczynamy już pojutrze!



ZIMOWY APEL
LIGI OCHRONY PRZYRODY



Wiemy wszyscy o kłopotach z wyprodukowaniem odpowiedniej ilości pasz dla zwierząt hodowlanych. Posiadane zasoby z trudem zaspokajają potrzeby. Ale w okresie zimy paszy musi starczyć nie tylko dla zwierząt gospodarskich. Również zwierzęta żyjące w lesie, na polach, wokół nas dotkliwie odczuwają skutki zimy. Niska temperatura, wiatr, zasypane śniegiem pola i lasy, to wszystko powoduje, że ptakom i ssakom trudno zdobyć wystarczającą ilość pożywienia. Aby przeżyć muszą jeść.

Dlatego, jak co roku, Liga Ochrony Przyrody apeluje o dokarmianie zwierząt, a głównie ptaków. Obowiązek ten ciąży na nas wszystkich, zwłaszcza obecnie, w czasach poważnie naruszonej równowagi ekologicznej. Dziś przyroda już sama się nie obroni. Musimy wszyscy myśleć nie tylko o sobie, ale i o środowisku, w którym żyjemy.

Liga Ochrony Przyrody szczególnie apeluje do młodzieży. Zacznijcie działać sami, nie oglądając się na dorosłych. Rozwińcie pomysłowość w zbieraniu karmy. Niech np. posłużą temu celowi odpadki żywności, tak obficie w miastach wyrzucane na .śmietniki. Odpowiednio przygotowane, mogą być wykorzystane. Mówcie o tym w domu i w szkole, szukajcie różnych sposobów pomocy dla marznącej zwierzyny płowej i ptaków. Niech przetrwają zimę i doczekają wiosny! Pomocą organizacyjną oraz informacją służą Zarządy Wojewódzkie i Miejskie Ligi Ochrony Przyrody.

Fot. Jacek Łopuszyński

RAJD „ARSENAŁ" PO RAZ PIĘTNASTY

Tam, gdzie ulica Długa zbiega się z Bielańską, nieopodal warszawskiego Arsenału - harcerze z Szarych Szeregów w brawurowej akcji odbili z rąk gestapo swego przyjaciela i druha, Janka Bytnara „Rudego". Było to 26 marca 1943 roku.

W tym samym miejscu od kilkunastu lat, pod koniec marca spotykają się harcerze z całej Polski, wysłannicy drużyn noszących imiona wiążące się z walką i służbą Szarych Szeregów.

Organizator rajdu, hufiec Warszawa-Mokotów im. Szarych Szeregów proponuje, by w tym roku jubileuszowy, piętnasty, rajd, „Arsenał" był związany z 40 rocznicą zakończenia wojny. Dlatego hasłem imprezy są trzy słowa, wzięte z poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: „Pamięć ofiary niedaremnej". Słowa te mają stanowić klucz do refleksji, że choć Polska zażądała za swoją wolność wielkiej ofiary, to przecież zaowocowała ona zwycięstwem.

Mokotowscy harcerze zapraszają druhny i druhów należących do „szaroszeregowej rodziny" do udziału w tym spotkaniu. Droga pod Arsenał będzie prowadziła przez trasy walk warszawskich harcerzy. Na rajd nie można przyjechać jednak z pustymi rękami. „Bilet wstępu" - to wykonanie zadania przedrajdowego, polegającego na dokonaniu inwentaryzacji miejsc związanych z historią ZHP lub napisanie „kartki do przewodnika" po okolicy, w której działa drużyna czy szczep, z tym, że wędrowców należy poprowadzić szlakami nie tylko ciekawymi turystycznie, ale także wiążącymi się z historią harcerstwa.

Szczegółowych informacji udziela Komenda Hufca Warszawa Mokotów im. Szarych Szeregów, Warszawa. uL Fosa 30, tel. 43-81-62 i 43-83-22 w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17. Termin pisemnych zgłoszeń (na specjalnych formularzach) mija 18 lutego, (jor)

TO JEST PRAWDZIWA PRACA... GŁOWĄ!



Ten młody mieszkaniec Seulu ma na głowie tacę z posiłkiem dla... 28 osób. Fot. CAF

IKARUS na szynach

WĘGRY (PAI). Niedawno węgierscy specjaliści opracowali model Ikarusa jeżdżącego ... po szynach. Autobus ten będzie wykorzystany do przewozu pasażerów drogami kolejowymi w rejonach, w których ruch pociągów elektrycznych jest mało opłacalny ekonomicznie.

FORMUŁA 1

ALAIN PROST (Francja)

24 bm. ukończy 30 lat. Nie jest więc młodzikiem, w F 1 ściga się już od pięciu sezonów. Niektórzy twierdzą, że jest najlepszym aktualnie kierowcą świata. Skoro tak, to dlaczego Prost nigdy nie odniósł generalnego sukcesu? Mistrzowski tytuł mógł zdobyć w roku 1983; zdecydowanie prowadził w klasyfikacji niemal przez cały sezon. Jeszcze przed ostatnim Grand Prix (Republiki Południowej Afryki) w Kyalami posiadał 57 pkt. Piquet (Brazylia) miał ich 55. Defekt maszyny Francuza, trzecia lokata Brazylijczyka - i ten ostatni zwycięża w całorocznej rywalizacji. Na mecie Piquet powiedział, że to nie Prost przegrał, ale samochód „Renault" na którym jechał. Jest w tym stwierdzeniu dużo prawdy. Firma „Renault", która pierwsza wprowadziła silnik turbodoładowany, liczyła na pewny sukces. Stało się inaczej. Doszło do zatargu. Rozgoryczony kierowca przeniósł się do „McLarena". Ponownie Francuz znajdował się w ścisłej czołówce przez cały rok i ponownie o wszystkim roztrzygnął ostatni wyścig. W generalnej klasyfikacji sezonu 1984 zwycięży! Niki Lauda (też na „McLarenie").





CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

ZABIERAM WAS NA WYCIECZKĘ PO MOJEJ „BUDZIE"...

Zacznijmy od nieduchowej strawy. W naszej szkole można zjeść obiad oraz wypić mleko. Na obiady nie chodzę, więc nie wiem, co się tam dzieje, lecz „na mleku", to jest coś okropnego! Dostajemy je często zimne albo tak gorące, że przez 10-minutową przerwę raczej nie da się go wypić; bardzo często jest przypalone lub zwarzone, a kubki są tak brudne, że aż się lepią! Obrusy są nie lepsze. Na ścianach makaron (pewnie podczas obiadu nim rzucano), ziemniaki i inne rzeczy, które się „przylepiły". Lecz chodźmy dalej. Teraz w programie mamy szatnie przed salą gimnastyczną i samą salę gimnastyczną. Szatnie połączone są z prysznicami i ubikacją. (Nieraz, gdy się tam wejdzie, to trzeba natychmiast wyjść zaczerpnąć tlenu...). Szatnie są nie zamykane i z tego powodu wynikają różne drobne kradzieże. Sala gimnastyczna byłaby bez zastrzeżeń, gdyby nie takie drobnostki jak to, że z jednego kaloryfera leje się już od kilku lat woda i ciągle obok jest kałuża. W czasie zimy mimo ogrzewania w tej sali jest bardzo zimno.

Ale chodźmy już na I piętro. To piętro jest chyba najwspanialsze w szkole. W oknach stoją kwiatki (po trzy na każdym parapecie, ja nie żartuję!!!). Wszystko byłoby o.k. gdyby nie ubikacje i ich zapach okropny itp.

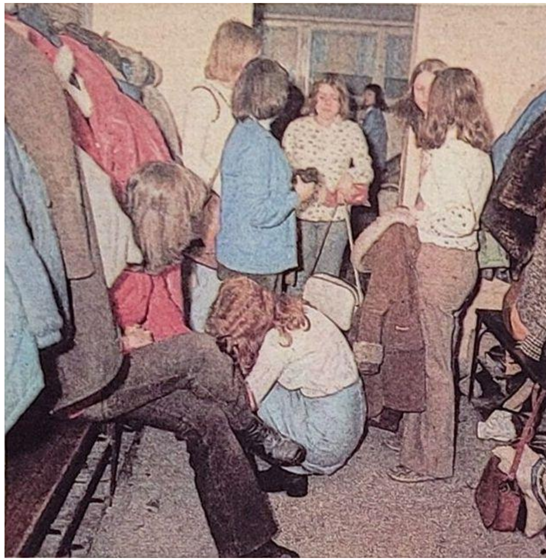
Następny, problem tego piętra to tablica opatrzona dumnym hasłem „Czym żyje szkoła". Gazetki, moim zdaniem, są zmieniane zbyt rzadko, ale ja się wcale nie dziwię, bo ostatnio gdy z koleżanką robiłyśmy. taką gazetkę, to zajęła nam aż 4 godziny. Po co to zresztą robiłyśmy, jeżeli i tak tego nikt nie czyta? Tablica z hasłem jest już po pierwsze bardzo zniszczona, a po drugie cokolwiek tam przybić mogą tylko osoby z bardzo spokojnymi nerwami. Tablica jest tak twarda, że nawet młotem nie można przybić pinezki!

Chodźmy na II piętro. Tu już kwiatka na korytarzu nie znajdziesz, za to ubikacje są w lepszym stanie. Jest tu biblioteka, ale zawalona bardzo nam „potrzebnymi" poezjami o tematyce społeczno-politycznej, mało jest natomiast lektur czy książek metodycznych dla nauczycieli. Jest trochę książek przygodowych, obyczajowych, mało literatury pięknej i opowiadań przyrodniczych.

Przejdźmy już do lekcji. Lekcje wychowawcze akurat w naszej klasie wyglądają tak: na początku (odbywają się w poniedziałki) opowiadamy sobie, oczywiście bez udziału pani, co kto obejrzał przez sobotę i niedzielę w TV oraz treść filmu z telewizyjnego kina nocnego. Później odrabia się lekcje, a na koniec, kiedy już pani powpisuje do dziennika to, co ma do wpisania, zaczyna się „wykład" na temat:

- Grzesiu, dlaczego pobiłeś kolegę? Proszę przyjść z mamą do szkoły - itp., itd. Później jest dzwonek i upragniona przerwa. Na schodach stoją dyżurni, którzy zabraniają przejść z jednego piętra na drugie, ale nie przeszkadza im zupełnie bijatyka, jaka toczy się na środku korytarza (nauczyciela dyżurującego, szczerze mówiąc, też). No, ale nasza szkoła nie jest zła. Wszystkie klasy rozpoczynają lekcje zawsze o 8.00, 9.00, pomoce są, więc czego jeszcze chcecie? Nikogo nie obchodzi, że chcielibyśmy mieć dyskotekę choć raz na miesiąc, bo po co? Dyskoteki są raz na 2-3 miesiące, a ostatnio tylko od 16.00 do 19.00, przeważnie w terminach, które nikomu nie odpowiadają, bo w środku tygodnia. W październiku chcieliśmy urządzić dyskotekę, to nasłuchałam się takich epitetów pod moim i nie tylko moim adresem, że „niczego innego nie mam w głowie tylko dyskoteki, że to nie jest jakiś klub studencki" itd. Ale mimo to przysięgam, że nie przeniosłabym się do innej szkoły. Moja poczciwa stara „buda"...

A (13 lat)
Dąbrowa Górnicza



DBAĆ MUSI KAŻDY!

Jestem uczennicą szkoły kolejowej w Lesznie. Niedawno poddana ona została pracom remontowym i odnowicielskim i jest już ładnie odmalowana. Przyjemnością jest siedzieć na lekcjach w odnowionych klasach. Ale nie wszystko jest takie przyjemne. Gorzej Jest z naszą szatnią. Bywa - i to bardzo często, że dyżurni dają klucz do szatni innym uczniom. Ci natomiast wchodząc całymi nawet klasami, zrzucają płaszcze na podłogę, a potem są one ohydnie zdeptane. Już od wakacji trwają jakieś remonty w sali gimnastycznej (których nawet zbytnio nie widać), my natomiast, póki było ciepło na dworze, ćwiczyliśmy w-f na boisku. Teraz natomiast siedzimy w jakiejś wolnej klasie...

Poza tym wydaje mi się, że byłoby w szkole przyjemnie, gdyby było w niej dużo kwiatów, a wtedy każdy uczeń chociaż troszkę o szkołę by dbał.

Osobiście bardzo lubię chodzić do szkoły. Może ktoś pomyśli, że w takim razie jest ze mną trochę nie tak jak trzeba, ale naprawdę ją lubię. Podobno mają ją powiększyć? Zobaczymy! Co prawda, kochałabym ją jeszcze bardziej, gdyby na świecie nie było dzienników i nie trzeba było się uczyć - chociaż potem to jest potrzebne, ale... to już jest inny temat.

MAJKA (członek LR)

CHCIAŁABYM MIEĆ LEPSZE WSPOMNIENIA

Chodzę do szkoły podstawowej w Kosowie Lackim. Mieści się ona w dwóch budynkach. Jeden jest sprzed II wojny światowej, a drugi ma około 20 lat. Ten starszy po przeróbkach trzyma się bardzo dobrze i jest nawet cieplejszy niż ten nowy. Nasza szkoła mieści się razem z Zasadniczą Szkołą Rolniczą, co wpływa ujemnie na uczniów.

Mamy nową, dużą salę gimnastyczną, boisko i wiele innych rzeczy, ale... Jest pewne „ale", którego nie chciałbym widzieć w naszej szkole. Jest to złe zachowanie się uczniów. Z początku tylko wyrywano krany, chłopcy palili papierosy itp. Aż doszło do tego, że zaczęto pić alkohol na terenie szkoły i skradziono 3 kurtki. Dopiero wtedy dyrekcja zaczęła interweniować! Kurtki znaleziono, sprawcom dano naganę i po wszystkim. Jedyną większą karą było wyrzucenie jednego chłopca ze szkoły z powodu spożycia alkoholu. A ja uważam, że nawet ta kara nie odstrasza innych.

Drugim mankamentem są spory między uczniami i sprzątaczkami. Chciałbym być po stronie sprzątaczek, ale nie mogę, gdyż same są winne. Zamykają ubikacje lub nie pozwalają do nich wchodzić. Nie pozwalają grać na podłodze w ping-ponga, gdyż się kurzy i one mają więcej sprzątania. Przecież to nonsens!

Chciałbym, aby przez ostatnie miesiące mojej nauki w tej szkole było lepiej.

„Bruce"

NA W-F DO PRZEDSZKOLA?

W moim rodzinnym mieście są dwie szkoły podstawowe. W mojej uczy się ponad 800 uczniów i niemal codziennie przybywają nowi. Mamy tylko 15 klas. Jest też niewielka sala gimnastyczna. Na jednej godzinie wf przebywają w niej 2-3 klasy, przy czym lekcje prowadzone są przez dwóch nauczycieli na raz. W tym roku oddano piękne przedszkole z dwiema salami gimnastycznymi. Jest ono prawie puste. Czy nie lepiej było wybudować jedną salę gimnastyczną przy szkole? Trzy lata temu były tylko dwie klasy pierwsze. Dziś jest ich 4. Podobnie jest z klasami drugimi. Młodsze dzieci-zaczynają więc lekcje o godzinie 13.30, a kończą o 17.30, albo jeszcze później, gdy jest ciemno. A przecież niektóre z nich mają do szkoły nawet 2 km.

Podobno nasza szkoła ma zostać rozbudowana, ale kiedy to nastąpi? Jak długo będziemy jeszcze musieli czekać?

Agnieszka (13 lat)
Lubaczów



Modny temat

Bardzo modnym ostatnio tematem w „RP" Jest sposób ubierania się do szkoły. Napisał ktoś jak się bardzo zdziwił, gdy przyszedł do nowej szkoły i zobaczył „dyskotekę". Oczywiście używając określenie „dyskoteka" miał na myśli sposób ubierania się uczniów tej szkoły.

Nie wszyscy lubimy niezwykłe fryzury i najmodniejsze ciuchy, ale nie musimy aż tak emocjonalnie reagować. Nikogo nie powinno obchodzić co inny ma na sobie lub na swojej głowie. Jeśli ktoś się dziwnie ubiera, ale jest fajnym człowiekiem, lubianym, mądrym, to dlaczego uznawać go za gorszego? Owszem, estetyczne a skromne ubrania wyglądają ładnie, ale czy kabaretki na nogach dziewcząt to coś nieestetycznego? Obecnie modne są różne dodatki np. paski różnego rodzaju oraz bransoletki z plastyku. Niektórzy uważają, że to nadaje się wyłącznie do dyskoteki. Ja uważam, że nie, chociaż nie popieram dyskotekowych ciuchów (mini, bluzek z dekoltami) ani fryzur typu „pank'' to jednak jestem za tym, aby uczniowie chodzili w tym, w czym czują się najlepiej. Bądźmy bardziej wyrozumiali i tolerancyjni, bo i tak tym, którzy chodzą modnie ubrani dostaje się od nauczycieli (np. obniżone oceny z przedmiotów i z zachowania!) i rodziców (te ciągłe kazania i uwagi!).

Aga z Sanoka

W nowej „budzie"

Jestem uczennicą kl. IId L.Z. w Tarnowskich Górach. Chciałabym opisać moje pierwsze dni i miesiące w nowej szkole, a tym samym pocieszyć wszystkich pierwszoklasistów: Nie martwcie się! Każdy musi przejść chwile tęsknoty za „starą" szkołą.

Pamiętam co było ze mną. W mojej obecnej szkole uczymy się na dwie zmiany. Gdy się idzie do niej na godz. 14.00 lub 13.00, to niekiedy wraca się o godz. 21.00, a nawet 22.00, jeśli jest zły dojazd. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz przyszłam tak późno do domu, to płakałam i nie chciałam już do tej szkoły chodzić. Ciągle tęskniłam do „tamtej budy" do tamtych koleżanek, nauczycieli. Obecne koleżanki wydawały mi się obce. Chociaż bardzo szybko nawiązuję kontakty z ludźmi, to wtedy całkowicie mi na tym nie zależało.

Po tygodniu poznałam Anię. Właściwie już wcześniej ją znałam, ale ona przyjaźniła się z wieloma dziewczynami. Zaczęłyśmy razem wszędzie chodzić, razem jadać śniadania, spędzać przerwy. Zaprzyjaźniłyśmy się, teraz obie uważane jesteśmy za radosne i koleżeńskie. Lubimy się wygłupiać, dwójami zbytnio się nie przejmujemy, lecz jak takie się zdarzają, to wtedy staramy się je poprawić. Jest nam bardzo, bardzo dobrze ze sobą... Dzięki nowej szkole zdobyłam przyjaźń, która jest bardzo piękna. Na Ani mogę zawsze polegać, Ona na mnie też.

Zuzia

Ach, te bykil

Zawsze czytam listy z „niebieskiego paska". Kiedyś zainteresowałam się listem jednej z koleżanek i teraz korespondujemy ze sobą. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ona robi masę byków. To jest strasznie! Nawet nie wiem jak to się jej udaje. Co wyraz, to błąd.

Apeluję do wszystkich piszących listy: siadając do pisania otwórzcie słownik ortograficzny. Sprawdźcie, gdy macie wątpliwości, sprawdźcie — gdy tych wątpliwości nie macie. Tak na wszelki wypadek!

Kto się ze mną nie zgadza, niech się wypowie. Chętnie podyskutuję.

Aśka z Gierałtowic

OD REDAKCJI: Asiu, masz rację! I my otrzymujemy listy z takimi błędami, ża aż cierpnie skóra.

Nie ma o czym dyskutować - trzeba po prostu uczyć się ortografii. Trzeba zaglądać do słowniczka ortograficznego (takie zaglądanie jest bezbolesne i szybko wchodzi w nawyki).

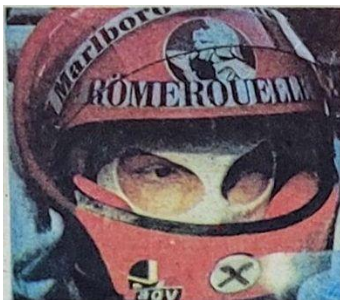
Po drugie: warto robić prywatne, domowe dyktanda np. wymiennie z koleżankami i kolegami. Można sobie wzajem stawiać oceny bawiąc się w nauczyciela (okazja!) lub „torreadora".

FORMUŁA 1

WALKA Z OGNIEM

Największym niebezpieczeństwem dla kierowcy F 1 jest pożar własnego samochodu. W aucie znajduje się (w momencie startu) ponad 200 l benzyny. Oleje, guma opon i smary też należą do materiałów łatwopalnych. W wyniku najdrobniejszego karambolu maszyna może przemienić się w gigantyczną pochodnię, w środku której znajduje się człowiek. W historii F 1 było wiele tragicznych w skutkach pożarów bolidów. Aby nie doszło do ich powtórzenia na torach wyścigowych wzmocniono ochronę przeciwpożarową, zastosowano najskuteczniejszy sprzęt. Na każdym torze strażacy muszą dotrzeć do miejsca ewentualnego pożaru w ciągu zaledwie 15 sek. W trakcie następnych 30 sek. ogień ma być ugaszony w kabinie kierowcy, a on sam wyciągnięty z auta (o ile nie jest w stanie opuścić go sam). Aby to wszystko przebiegało zgodnie z powyższymi wytycznymi, na całej długości trasy, w odstępach co 300 m, stoi strażak z przenośną gaśnicą. Co 500 m znajdują się dodatkowe stanowiska ze sprzętem. Obok wiraży zaparkowane są wozy strażackie, mogące gasić ogień jadąc z prędkością nawet powyżej 100 km/godz. Każdy strażak ma na sobie ognioodporne ubranie. Warto dodać, że cały system ochrony przeciwpożarowej kosztuje bardzo dużo, ale jest konieczny.

Dane techniczne aut



Regulaminy (techniczny i sportowy) F 1 wciąż się zmieniają. Powodem tego jest coraz większa prędkość aut; chodzi o jej ograniczenie i jednoczesne zagwarantowanie bezpieczeństwa kierowcom. Np. w roku 1979 zabroniono używania tzw. „spódniczek" na podwoziu, które powodowały lepszą przyczepność samochodów do podłoża (zwłaszcza na łukach). Zawodnicy mogli poruszać się z kosmicznymi niemal prędkościami. Ale w momencie awarii dochodziło do tragicznych w skutkach katastrof. A oto niektóre dane techniczne samochodów F 1. Silnik ma pojemność 3 dcm^3, maksimum 12 cylindrów. Pojazd może być wyposażony tylko w 4 koła. Jego szerokość wynosi, wraz z kołami 2150 mm (maksimum). Szerokość nadwozia - do 1400 mm. Opony: szerokość - 18 cali, średnica - 26 cali. Każdy samochód musi mieć zamontowane pasy bezpieczeństwa, gaśnice (na wypadek pożaru) oraz tzw. system przeżycia. Są to butle z tlenem połączone przewodem ognioodpornym z kaskiem kierowcy. Zawodników obowiązują specjalne (ognioodporne) ubiory oraz kaski. Pod kaskami znajdują się jeszcze azbestowe maski (patrz zdjęcie), które chronią mają twarz przed eventualnym poparzeniem.

SITO ELIMINACJI

Pisaliśmy już wcześniej, że pozycja startowa zawodnika zależy od rezultatu uzyskanegę podczas oficjalnego treningu. Nic więc dziwnego, że przed tymi próbami w grupie kierowców panuje spore podniecenie. W Grand Prix może Uczestniczyć 24 zawodników. Jedyny wyjątek stanowi GP Monte Carlo, gdzie jest ich 20. 15 minut przed każdym startem wszystkie samochody muszą być na torze. Spóźnienie równa się przesunięciu auta na koniec rozpoczynającej wyścig kawalkady. To samo grozi kierowcy, kiedy ten nie uruchomi silnika samodzielnie. Przed GP następują jeszcze dwa okrążenia trasy (rozpoznawcze) i auta ustawiają się na swoich pozycjach - z włączonymi silnikami. Ruszają w momencie zapalenia się zielonego światła.

Kto może ścigać się w F 1 ? Tylko kierowcy, którzy posiadają specjalną licencję. Tę z kolei można otrzymać po uzyskaniu odpowiednich wyników w F 2 i F 3. Są to wyścigi samochodów 6- i 4-cylIndrowych o pojemności do 2 dcm^3. Posiadacze licencji zgłaszają swoją kandydaturę do startów w F1 na 3 miesiące przed rozpoczęciem sezonu. Po wpłaceniu kaucji wpisywani są na listę zawodników rezerwowych. Z tej listy trafia się dopiero do grona rywalizujących w GP. Ale po dobrych lokatach w oficjalnych treningach. A do nich dopuszcza się jedynie... 2 kierowców rezerwowych. Sito eliminacji jest więc gęste. Do wyścigów F1 trafiają najlepsi z najlepszych.

Spotkania

PRÓBA czyli POŻEGNANIE

Wartość przyjaźni można sprawdzić tylko wtedy, gdy podda się ją próbie. Czy pamiętacie „przysłowie niedźwiedzie" z jednej z Mickiewiczowskich bajek? Z pewnością A czy przekonaliście się o jego słuszności. w praktyce? Podejrzewam, że także. Ale mam nadzieję, że Wasza przyjaźń wyszła z próby zwycięsko.

A nasza?

Wiele pism drukuje długie listy adresów osób w różnym wieku, które drogą korespondencji chcą znaleźć przyjaciela. Może czasem na swym ogłoszeniu budują nawet większe nadzieje... Dla nich pierwszą próbą jest próba czasu. Pierwszy list, odpowiedź, drugi list, odpowiedź, trzeci list, przerwa, czwarty list, przerwa. Przerwa czy koniec? Nie, jeszcze przychodzi kartka z pozdrowieniami. Piąty list i... po korespondencji, która nie wytrzymała próby czasu. Zdarza się zresztą, że odpowiedzi brak już za pierwszym razem. Czy wtedy dalsze pisanie można nazwać jeszcze próbą?

Chyba tak. Bo choć ja pisałem coraz rzadziej - dwa lata temu byłoby to o tej porze już nasze siódme spotkanie, rok temu już tylko czwarte, w tym jest zaledwie drugie - jednak Ty napisałaś do mnie po raz pierwszy właśnie teraz.

„Dziękuję Ci! Dziękuję za wszystkie spotkania. Wiesz, one dodają mi siły, gdy wszystko wydaje się beznadziejne. Ukazujesz życie takie, jakie ono naprawdę jest". To słowa Kasi z Poznania.

Ale nasze spotkania nie były właściwie próbą. Na próbie markuje się przecież sytuacje, powtarza trudniejsze miejsca, proponuje różne rozwiązania, z których każde - bez żadnych obaw - może być wypraktykowane i poddane później analizie, by wybrać to najlepsze. Po to są próby, by na premierze nie było już żadnej wpadki.

A tu - jak właściwie zawsze w życiu - same premiery! Opisywane przez Was sytuacje były przecież prawdziwe nie markowane. Nie da się bez końca powtarzać trudniejszych miejsc w życiorysie. Można wybierać różne rozwiązania, ale potem zastosowanie jednego z nich pociąga za sobą lawinę skutków i nie można powiedzieć, że to było tylko na próbę. Absolutnie nie chcę wyolbrzymiać swojej roli, ale z moją reakcją na Wasze listy było podobnie. Mogło mi się zdarzyć milczenie w błahej, ale dla kogoś bardzo ważnej sprawie. Mogłem kogoś nie zrozumieć, źle poradzić. Mogła nie udać się nasza bezpośrednia rozmowa, bo przecież niektórzy z Was bywali w Warszawie. I wszystko to nie było na próbę lecz naprawdę.

Tak było między Wami I mną, tak jest między Wami i innymi. Dlatego każdy nasz krok, każdy gest, każde słowo liczy się dla nas i dla Innych. Czasami nawet bardzo.

Nie będzie żadnego dzwonka, kurtyna nie pójdzie w górę, bo choć to tylko próba, premiery nie będzie po próbie. Nie będzie żadnego suflera, który by znał Twoją rolę. Partnerów możesz wybierać, lecz zmieni ich losu kolej. Nie będzie żadnej okazji, by zagrać wszystko od nowa, trafia się tylko raz jeden każdemu życiowa rola. Próba, próba życia: czek do banku ze szczęściem czy weksel bez pokrycia?

Dalej ta Wasza próba-premiera będzie trwać już beze mnie. To ostatnie nasze spotkanie. W każdym razie w tym miejscu. Przepraszam. Może wyeksploatowałem się... to jedna możliwość. Musiałem się wyeksportować... To druga, wymagająca wyjaśnień. Od lata zajmuję się redagowaniem Polonijnego „Świata Młodych" i ciężar mej odpowiedzialności i obowiązków przechylał się coraz bardziej na jego stronę. Może nie wytrzymałem tej próby... Może...

Jeszcze wczoraj dostałem list od Marka.

„Świat nastolatków mimo pozorów to nie autostrada, po której każdy swobodnie i w miarę szybko porusza się. Nasza kraina to kręta, wąska ścieżka, która dosyć często biegnie tuż przy stromej, głębokiej przepaści".

Jeśli tak jest rzeczywiście, idźcie ostrożnie i rozważnie. Może jednak ta ścieżka zaprowadzi Was tam, dokąd ja próbowałem iść z Wami przez trzy lata. Dokąd?

Cztery strony podobno ma świat, cztery strony. W każdej z nich ziemi szmat, ziemi szmat. Przewędrował je z uporem człowiek, by usunąć białe plamy z map. I gdy słońca krąg ponad ziemią złotym lukiem znaczył dzienny marsz, kij ujmował w swoją dłoń, przez bezdroża niósł go koń lub okrętu ster brał mocniej w garść. Piątą stronę pokazał mu świat, piątą stronę: ujrzał ją w swoich snach, w swoich snach. Obraz ten kusił oczy zmęczone. Musisz iść - podpowiadał mu wiatr. I gdy słońca krąg ponad ziemią tak jak co dzień ruszał w złudny marsz, kij ujmował w swoją dłoń, przez bezdroża niósł go koń lub okrętu ster brał mocniej w garść.

Idź tam! Ja wprawdzie nie znikam (jestem w dalszym ciągu osiągalny listownie w redakcji), ale z tego miejsca mogę już tylko po raz ostatni życzyć Ci powodzenia. Powodzenia w Twojej próbie!

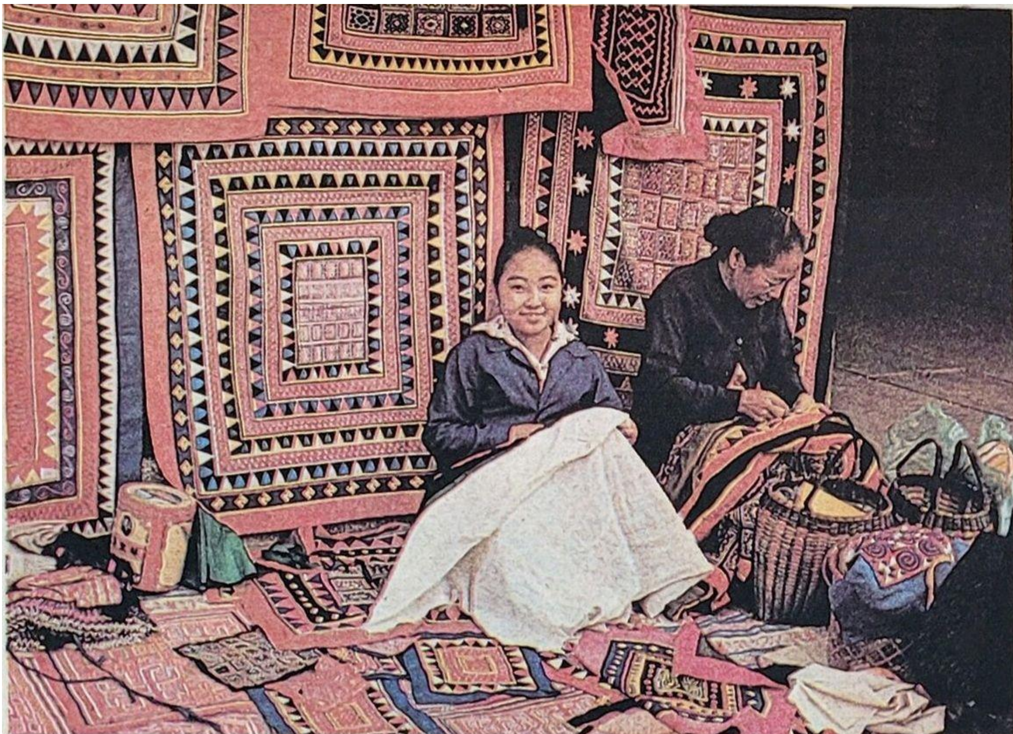
Trzeba iść, tak powtarzaj co rano. Trzeba być znowu bliżej o dzień... Trzeba wytrwać by odkryć nieznane. Trzeba iść, aby dojść tam, gdzie cel.

Jarek

czyli
JAROSŁAW LISIECKI

KRÓLESTWO MILIONA SŁONI I BIAŁEGO PARASOLA

Jak głosi legenda, rządził tym państwem smutny król. Nic go nie cieszyło - ani liczne bogactwa, ani muzyka, ani piękne ogrody. Szukając sposobów, aby go rozweselić, wierni dworzanie zawieźli go do dżungli graniczącej z pałacowymi ogrodami. Król - zachwycony jej dźwiękami - po raz pierwszy się uśmiechnął. Niestety, po powrocie do pałacu wpadł w jeszcze większą melancholię. Brakowało mu odgłosów dżungli, ale nikt nie umiał ich wiernie naśladować, żaden instrument nie potrafił oddać ich różnorodności. Pewnego dnia jeden z dworzan przyniósł wiązkę bambusów i zagrał na niej - w pałacu rozległy się dźwięki, takie same jak te, które tak zachwyciły króla w dżungli. Był to ken. Od tego czasu jest on nieoficjalnym symbolem Laosu i jego mieszkańców. Jest to instrument dęty, wykonany z 7 lub 8 par różnej długości kawałków bambusa maj-o, podobny trochę do znanych nam szałamai. By wydobyć ukrytą w nim muzykę, trzeba być... Laotańczykiem. W „królestwie miliona słoni i białego parasola" jest zresztą do dzisiaj powiedzenie, że prawdziwego Laotańczyka można poznać po tym, że mieszka w domu na palach, je kleisty ryż, no i przede wszystkim potrafi grać na kenie. Leng Sang, czyli właśnie „królestwo miliona słoni i białego parasola", to dawna nazwa Laosu, małego lecz bardzo zróżnicowanego kraju (3,5 mln ludności dzieli się aż na 68 narodowości!).



Kilimy, dywany - oto wyroby laotańskich kobiet.



Odświętny strój współczesnej Laotanki

Laotańczycy lubią się bawić i robią to zgodnie z tradycją. Żadna uroczystość nie może się odbyć bez tradycyjnego drzewka „basi". Są to ustawione w piramidę srebrne miski, kielichy, kwiaty ponądziewane na bambusowe pręciki. Wygląd drzewka zależy od fantazji twórcy, ale zawsze jest bogate i kolorowe i obowiązkowo musi mieć pozawieszane bawełniane nitki. Nie są one li tylko ozdobą, lecz spełniają również rolę talizmanów. Laotańczycy wierzą, że każdy człowiek ma 32 dusze, opiekujące się jego ciałem. Choroba to nic innego, jak , po prostu brak którejś z dusz. Drzewko „basi" ma swoją urodą zwabić wolne dusze, a bawełniane nici, które w trakcie uroczystości zawiązuje się na przegubach rąk, mają połączyć je z człowiekiem.

Tradycję zachowują Laotańczycy również w ubiorach, zwłaszcza kobiety. Jeśli w stolicy Laosu zobaczy-. cie dziewczynę w spodniach lub europejskim stroju, na pewno nie będzie to Laotanka. Strój współczesnej mieszkanki Laosu - to bluzka o prostym kroju, długa wąska spódnica, zrobiona z jednego kawałka materiału i dobrze nam znane buty - japonki.



Średniowieczna świątynia buddyjska Xieng Choong w Luang Prabang, dawnej królewskiej stolicy Laosu

Na co dzień strój jest skromny, od święta odpowiednio bogatszy. Spodnie, tak ukochane przez nasze dziewczęta, nie mają tu żadnych szans. Nawet Laotanki studiujące w Europie po powrocie do kraju ubierają się jak ich matki...

Tych kilka ciekawostek z dalekiego świata opowiedzieli państwo Wanda i Tadeusz Samborscy na spotkaniu azjatyckim w warszawskim Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy „Ściana Wschodnia" w grudniu ubiegłego roku. Wszystkich interesujących się Azją, jej mieszkańcami i kulturą zachęcam - jeśli mieszkają w stolicy - do odwiedzenia Muzeum Azji i Pacyfiku przy ulicy Solec 24. Natomiast tych, którzy mieszkają poza Warszawą - do przeczytania publikacji na ten temat. Polecam dwie: Bronisława Grąbczewskiego-„Podróże po Azji Środkowej" i F.A. Plattner-„Gdy Europa szukała Azji".

MAGDALENA SZTUKA

Fot. **archiwum**



TRUDNY WYBÓR

– Sporo dzisiaj nam zadano,
lecz mam chętkę niesłychaną
Iść na łyżwy lub na narty.
Toczę z sobą bój zażarty:
czy nad matmą warto siedzieć?
Może lepiej po obiadzie
Iść na górkę albo lód,
bo pogoda dzisiaj – cud.
Nie – powiadam. – Lekcje zrobię.
Może potem pójdę sobie.
Lecz długopis w rękę pali
a zadanie – kroku dalej.
Jak się jeszcze okazało,
trochę więcej pozostało:
z chemii zrobić obliczenia
I z „rusaka" dwa ćwiczenia,
a z biologii – do stu gadów!
czeka na mnie zbiór układów:
krwionośny i oddechowy,
wydalnlczy, pokarmowy.
Jeszcze i fizyka miła
kłopotu mi przysporzyła.
Co tam mamy? Jakieś jony
I swobodne elektrony.
Jeszcze „polak", „hlsta", „gegra"...
Biednym żakiem trzęsie febra.
Żal mam do tych wielkich ludzi,
przez nich tak się człowlok trudzi.
Po cóż to Kolumbie miły
tę Amerykę odkryłeś?
Lub po co pan, panie Żeromski
pisał takie długie książkl?
Ale cóż. Już taki los.
I aż jeży mi się włos,
gdy pomyślę, że to wszystko
trzeba zrobić (i to szybko!)
Nie spoglądam na zegarek,
lecz czas pędzi niesłychanie.
„Praca w domu" czy też lód?
Muszę wybrać – cóż za trud!
W końcu myślę: Po co siedzę
I połykam wszelką wiedzę?
Chwytam łyżwy, w rękę kij
I na lodzie – w parę chwil.
Jak też słonko zaszło szybko!
Popołudnie – małą chwilkę.
A nazajutrz... Trzy „balony"!!!
Jestem przez los pokrzywdzony!
Pech mym bratem - więc dlatego
słabe stopnie mój kolego.
– Inne mam w tej sprawie zdanie,
obraźllwe niesłychanie:
Nie pech był przyczyną dwój,
lecz lenistwo – kompan twój.

Agnieszka Borodejuk
klasa VIII
Miastkowo

Agnieszko! Morał słuszny! Ja też nie wierzę w pecha – Brzęczysława

SZKOŁA - KLUB

Podwójna korzyść

Na punkcie hokeja Bytom oszalał. Kilka lat temu miejscowa „Polonia" zaczęła budować solidną drużynę, która nadspodziewanie szybko okazała się krajową potęgą. Sprowadzono tu świetnych zawodników, choćby Jana Pieckę, Jerzego Christa, Bogdana Krawczyka, a przy nich rozkwitły talenty młodych, którzy dziś tworzą fundament reprezentacji narodowej. Zupełnie niedawno, bo na początku tego roku, „Polonia" osiągnęła sukces nie notowany w historii polskiego hokeja: awans do finału Klubowego Pucharu Europy! Na mecze przychodzi zawsze kilka tysięcy widzów, więcej niż na zawody piłkarskie, co jest swego rodzaju ewenementem.



W ub. r. bytomianie wywalczyli wicemistrzostwo kraju w Złotym Krążku „Świata Młodych". Oto oni i ich trener - pan Wincenty Kawa



Hokejowy sprzęt jest bardzo drogi. Ale uczniowie bytomskiej szkoły nr 36 mają go pod dostatkiem

W klubie szybko zrozumiano, że sukcesy osiągnięte przy wydatnej pomocy zawodników z innych klubów mogą wkrótce się skończyć i rozpoczęto na szerszą skalę trenowanie pełnowartościowych następców. Szkoła nr 36 idealnie nadawała się na objęcie patronatem i w połowie 1983 roku podpisano stosowną umowę. Dzięki niej klub ma zawodników, a szkoła trochę sprzętu i lodowisko do dyspozycji. Zgodnie z obowiązującymi w świecie trendami i tu zaczyna się hokejowe wtajemniczanie już w trzeciej klasie. Najzdolniejszych grupuje się w klasach sportowych, a tych ciut mniej utalentowanych (przynajmniej z pozoru) - w usportowionych. Klub zapewnił opiekę trenerską i medyczną. Nawet oddał do dyspozycji szkoły masażystę. Zapewnia oczywiście także lekarza i gabinety odnowy. W ubiegłym roku udało się po raz pierwszy zorganizować zgrupowania w pięknym ośrodku „Silesiana" w Kokotku, co z dumą podkreśla wicedyrektor ds. sportu Zbigniew Madej. Koszt tego przedsięwzięcia był spory, ale korzyści jeszcze większe.

Mimo, że specjalizacja hokejowa prowadzona jest od niedawna, uczniowie szkoły nr 36 zdążyli już odnieść kilka sukcesów, jak zwycięstwa w jeździe szybkiej, w „Złotym krążku" czy „Błękitnej sztafecie". Najważniejszy jest jednak hokej i temu podporządkowana jest cała praca. Od szóstej klasy chłopcy ćwiczą 10 godzin tygodniowo, w tym codziennie na lodzie. Do tego dochodzą jeszcze mecze rozgrywane w soboty i niedziele. Właśnie mecze są największym przeżyciem dla zawodników. Hala zapełnia się wtedy kibicami i atmosfera panuje jak na zawodach pierwszoligowych. Jest wówczas szansa zademonstrowania swoich umiejętności. Nikt się nie oszczędza, każdy daje z siebie wszystko.

Na szczęście ze sprzętem nie jest najgorzej, choć oczywiście do ideału bardzo daleko. Ale najważniejsze, że chłopcy mogą grać bezpiecznie, a to w hokeju jest najbardziej istotne. Niektórzy zawodnicy już dali się poznać jako niepospolite talenty, które mogą w przyszłości stać się podporami „Polonii". Choćby „piątka" z 8 klasy - Jan Baron, Jacek Respondek, Radosław Bistuła, Adam Fras i Jerzy Sobera - która doskonale zaprezentowała się w meczach z rówieśnikami z Czechosłowacji. Trenerzy Wincenty Kawa, Mieczysław Stachowicz i Piotr Marniok oraz nauczyciele wf twierdzą, że ich wychowankowie dadzą jeszcze o sobie znać.

Sport wciąga uczniów. Zaczynają oni dostrzegać także uroki hokeja, a nie tylko ciężką i wymagającą codzienną pracę. Nawiązano pierwsze kontakty międzynarodowe z atrakcyjnymi partnerami z NRD, Czechosłowacji i Belgii. Dzięki temu można i poprawić zaopatrzenie w sprzęt ochronny oraz zobaczyć kawał świata.

Specjalizacja hokejowa, choć nie posiadająca jeszcze tradycji, ciągle się rozwija. Planowane są obozy w trakcie roku szkolnego (z douczaniem). Jest również pomysł, aby kontynuować szkolenie absolwentów „podstawówki". Najlepiej byłoby zgrupować ich w jednym budynku jakiegoś technikum. Na razie wszystko wskazuje na to, że sprawę uda się załatwić. W Bytomiu buduje się wylęgarnię talentów z prawdziwego zdarzenia.

MAREK SUCHY
Fot. Z.Przybyłowski

Ściągawka z historii

JAŁTA (4)

Z dala od zgiełku frontów, w czarnomorskiej miejscowości - Jałcie, po ośmiodniowych obradach trzej przywódcy antyhitlerowskiej koalicji: szef radzieckiego rządu - Józef Stalin, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki — Franklin Delano Roosevelt i premier Zjednoczonego Królestwa - Winston Churchill, ustalili najważniejsze zasady współpracy w dokończeniu dzieła zwycięstwa, przede wszystkim jednak wypracowali wspólnie podstawy przyszłego pokoju.

Kiedy mężowie stanu wrócili do Moskwy, Waszyngtonu i Londynu — mogli z zadowoleniem powiadomić swoje rządy i narody, że w podstawowych dla powojennego świata sprawach uzgodnili stanowiska. Jałta - było to walne zwycięstwo tego samego ducha jedności i współdziałania, który przez tyle lat, miesięcy i tygodni ożywiał walczących na frontach i w ruchu oporu, pracujących na rzecz zwycięstwa na tyłach, był nadzieją więzionych w faszystowskich obozach i gnębionych w okupowanych krajach. Wyrazem wspólnoty poglądów w zasadniczych sprawach były końcowe dokumenty Konferencji: Deklaracje w sprawie pokoju, w sprawie Europy, w sprawie Niemiec, w sprawie Polski i o Dalekim Wschodzie.

Deklaracja w sprawie pokoju stwierdzała: „Nasza narada na Krymie ponownie potwierdziła nasze wspólne postanowienie utrzymania i wzmocnienia w okresie nadchodzącego pokoju tej jedności w celach i akcji, która sprawiła, że zwycięstwo w tej wojnie stało się dla Narodów Zjednoczonych możliwe i pewne. Wierzymy, że jest to święty dług, który nasze rządy zaciągnęły względem swych własnych narodów oraz narodów świata. Tylko przy ciągłej i zwiększającej się współpracy i porozumieniu pomiędzy naszymi trzema krajami i pomiędzy wszystkimi miłującymi pokój narodami może być osiągnięty najwyższy ideał ludzkości, mianowicie pokój pewny i trwały, który mówiąc słowami Karty Atlantyckief da rękojmię, że wszyscy ludzie we wszystkich krajach będą mogli pędzić życie wolni od strachu i niedostatku. Zwycięstwo w tej wojnie i utworzenie zamierzonej organizacji międzynarodowej stanowić będzie największą w historii sposobność do stworzenia w nadchodzących latach zasadniczych warunków dla takiego pokoju"



W Wersalu—historycznej siedzibie królów Francji—w 1919 roku podpisano traktat kończący

Autorzy tej deklaracji wiedzieli, że ten wytęskniony „pokój pewny i trwały" może być osiągnięty tylko wówczas, gdy stosunki międzynarodowe oparte zostaną na zaufaniu i współpracy. Pamiętali, że pokoju nie zapewnili politycy, kiedy w 1919 roku pisali w Wersalu traktat pokojowy, gdyż nie udało im się zagwarantować tego, że Niemcy nie rozpoczną nowej wojny. Pamiętali także, że słowa poprzedniego (przed Churchillem), angielskiego premiera Chamberlaina, wypowiedziane po podpisaniu haniebnego układu monachijskiego „przywiozłem wam pokój", zwiastowały w istocie wojnę, gdyż dobrego pokoju nie buduje się nigdy na bezprawiu i strachu. A wówczas ustąpiono przed siłą i umocniono Hitlera w poczuciu bezkarności. Pamiętali wreszcie, że system Ligi Narodów, organizacji międzynarodowej państw europejskich, nie stworzył podstaw pokoju. Te doświadczenia z historii podyktowały uchwały jałtańskie.

W pozostałych deklaracjach, o Niemczech, o Polsce, o Europie, o Dalekim Wschodzie omawiano szczegółowe rozwiązania zapewniające ów cel nadrzędny - pokój. O deklaracji w sprawie Polski pisaliśmy, przypomnimy więc tylko najważniejsze w niej zdanie: *„ponownie stwierdzamy nasze wspólne pragnienie ujrzenia Polski państwem silnym, wolnym, niepodległym i demokratycznym"*. W sprawie Niemiec alianci zapisali m. in.: *„Jest naszym niezłomnym zamiarem zniszczenie niemieckiego militaryzmu i narodowego socjalizmu i stworzenia gwarancji, że Niemcy już nigdy nie będą mogli zakłócić pokoju świata (...) Nie leży w naszym zamiarze zniszczenie narodu niemieckiego; jednak wtedy tylko, gdy narodowy socjalizm i militaryzm zostaną wykorzenione, będzie nadzieja stworzenia warunków przyzwoitego życia dla Niemców i danie im miejsca w społeczności narodów.*

W deklaracji w sprawie Europy przywódcy mocarstw sprzymierzonych podkreślili *„wierność deklaracji Narodów Zjednoczonych i silne postanowienie zaprowadzenia, wspólnie z innymi miłującymi pokój narodami, porządku międzynarodowego na świecie, opartego na zasadach prawa poświęconego pokojowi, bezpieczeństwu, wolności i ogólnemu dobrobytowi całej ludzkości"*.

Wreszcie w sprawie Dalekiego Wschodu szefowie rządów ZSRR, USA i W.Brytanii omówili sposób zakończenia wojny z Japonią.

Czterdzieści lat po Jałcie można z całą pewnością powiedzieć, że dała ona staruszce Europie pokój. Przez te lata był on mniej lub bardziej zagrożony, a jego zagrożenie zawsze wiązało się z próbą odstąpienia od zasad jałtańskich. Natomiast wówczas, gdy cytowane słowa współpracy w imię bezpieczeństwa narodów stawały się praktyką życia międzynarodowego — perspektywa spokojnego jutra była szersza i jaśniejsza.

Rzeczywiście, militaryzmowi niemieckiemu „wyrwano zęby". Stało się tak przede wszystkim dlatego, że z części Niemiec w 1949 roku powstała Niemiecka Republika Demokratyczna prowadząca politykę pokoju i współpracy z sąsiadami. I chociaż umowy w sprawie Niemiec nie do końca zostały wykonane w drugiej części Niemiec - dzisiejszej Republice Federalnej, to jednak fakt istnienia NRD, zdecydowana polityka ZSRR i innych państw środkowej Europy, w tym Polski, wzajemny ich sojusz, przyjaźń i współpraca stały się podstawą bezpieczeństwa europejskiego.

Silna Polska, otoczona przyjaznymi państwami jest ważnym uczestnikiem europejskiej gry o pokój.

Również inny owoc Jałty - Organizacja Narodów Zjednoczonych spełnia doniosłą rolę w kształtowaniu warunków, w których pokój „jest możliwy i pewny".

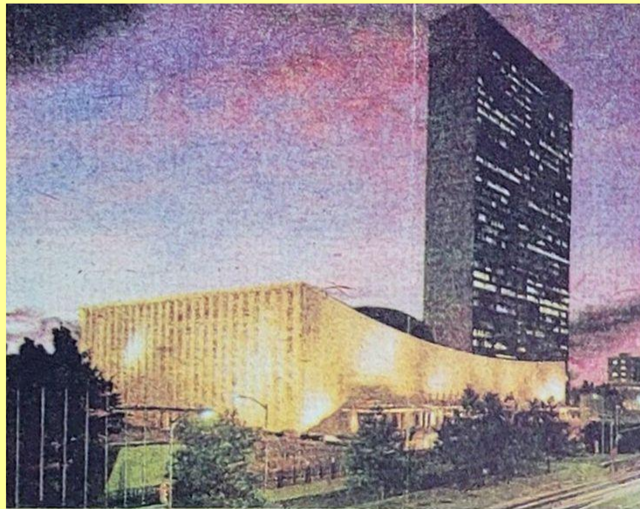
Najkrócej można powiedzieć, że gmach pokoju wznosi się na następujących filarach:

- współpracy międzynarodowej
- wyrzeczeniu się siły w stosunkach międzynarodowych
- honorowaniu układów zawartych pomiędzy państwami
- bezpiecznych i sprawiedliwych granicach
- Organizacji Narodów Zjednoczonych

Ta konstrukcja jest umacniana przez konsekwentną politykę państw obozu socjalistycznego, ZSRR i jego sojuszników. Wspiera ją też rozsądek większości społeczeństw zachodnioeuropejskich, świadomych, że jakakolwiek próba zmiany zasad ustalonych w Jałcie, a zapewniających pokój drugiemu już pokoleniu Europejczyków, grozi pożarem, którego nie dałoby się ugasić.

W czterdziestolecie Jałty - świat trwa pomiędzy obawą i nadzieją. Obawą, że zapomnienie lekcji historii wtrąci nas w katastrofę. Nadzieją, że zwycięży jednak ten duch porozumienia, który był obecny w owych lutowych dniach 1945 roku.

JAN ORGELBRAND



Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku istniejącej od 40 lat i zrzeszającej dziś już ponad 150 państw. Organizacja jest dla międzynarodowej społeczności miejscem współpracy w imię pokoju

* Karta Atlantycka - dokument będący podstawą koalicji antyhitlerowskiej. Polska przystąpiła do Karty we wrześniu 1941 roku

– Co ja robię? A próbuję pomóc uczniom, którym jest w szkole źle. Zajmuję się i tymi, w których zachowaniu sę takie zaburzenia, że wychowawca, nauczyciel nie jest w stanie uporać się z nimi w ciągu lekcji. I wtedy zaczynaję się moje próby wyeliminowania tych zaburzeń. Przykład? Chociażby...



Marek

Chłopak przemądry. Inteligentny. W większości przedmiotów „specjalista od spraw pozaprogramowych". Szczególnie zafascynowany historią i epoką Napoleona, o którym może dyskutować godzinami. A na lekcjach ...koniec. „Marek w ogóle się nie odzywa, w ogóle się nie nadaje!"

Kiedy był w pierwszej klasie, słyszałam: ma cztery dwóje, trudno, zostaje. Kiedy był w drugiej kiesie, wychowawczyni powiedziała do mnie: zupełnie nie wiem, co robić z tym chłopakiem, musisz mi pomóc, bo będzie tak zostawał i zostawał.

No więc poprosiłam go raz i drugi na rozmowę i dowiedziałam się, że ze szkołą w ogóle nie daje sobie rady, że w domu, podczas gdy ojciec z młodszym bratem grzebię przy aucie lub chodzą na mecze, on ...śpi. Nawet dziewczyny go nie interesują.

Kiedy ja zastanawiałam się, „jak to ugryźć", on poprosił o pożyczenie zauważonej na półce książki o świadomości, A potem przychodził do mnie i gadał. O wszystkim i o niczym. W nieskończoność. Była zima. Piąta po południu, a ja z nim siedzę trzecią – czwartą godzinę.

Poznałam jego rodziców. Najpierw byłam w domu, potem zaprosiłam do siebie tatę: Czy pan wie, że jakby pana synowi kazali skoczyć z okna, to by skoczył? Czy pan zauważył tę bezwolność u swojego dziecka? Czy pan w ogóle kiedykolwiek z nim rozmawiał na inny temat niż złapane w szkole dwóje, próbował pan do tego chłopaka jakoś dotrzeć?! Ma pan dwóch synów. Tamten nie sprawia problemów, więc jest wspaniały, a tego pan odpuścił?!

Przy mojej pomocy (np. tłumaczenie nauczycielom: trzeba mu pomóc, to człowiek bardzo zamknięty w sobie, dziwny, ale mądry; zrozum, tacy ludzie czasem zrobią więcej dobrego niż złego) i przy życzliwości nauczycieli (jak tak prosisz, to widocznie coś w tym jest) doszedł do czwartej klasy.

– Marek, a myślałeś o studiach? – pytam. – Nie, ja się tylko boję wojska. Byłam już zorientowana, że jedyne dla niego kierunki studiów to artystyczny albo filozoficzny. - Marek, rysujesz, prawda? Przynieś mi swoje rysunki. On: - To się w ogóle do niczego nie nadaje. Jednak przyniósł. Pokazałam koleżance plastyczce z ASP. I słyszę: – Ciekawy człowiek. Nie wybiera się na ASP? - On się nigdzie nie wybiera, ma dwójki, nic nie robi, godzinami przesiaduje bez celu i bez sensu. – Przyprowadź go do mnie - ona to na.

Przyszedł na zajęcia. Robili akurat szkic bryły. Narysował. - Jest dobrze – usłyszał - ale tu i tu trzeba jeszcze popracować. I może pomyśleć o tym kierunku studiów.

Prosiłam, by podczas ferii rozluźnił się, zostawił naukę, za to dużo rysował: szkice głowy, dłoni, by wyrobić sobie rękę. - Rysowałeś? – pytam po feriach.– Gdzie tam, łaziłem, czytałem sporo, nawet do Platona sięgnąłem. W ogóle to moje życie jest bez sensu.

Jezus, Maria! A więc to odpada. Co teraz robić? Platon? Zaczęłam się zagłębiać w filozofii, by móc sensownie z nim dyskutować.

Małymi kroczkami doszedł do matury. – Nic się nie martw – mówię. – Jeśli napiszesz polski dostatecznie, reszta już jakoś ci pójdzie. Na pisemnym dostał ...bardzo dobry! Pierwszy raz w życiu! Napisał bardzo mądrą, troszeczkę filozoficzną pracę.

Z matematyki dostał dostateczny.

I zaczął przygotowywać się do filozofii.

Przychodzi do mnie jego ojciec: – Czy pani uważa, że akurat filozofia będzie dla niego najlepsza? A może by jakieś studia techniczne? Ja skończyłem AGH. I mam doktorat. - Tak, właśnie filozofia, bo to mu odpowiada. A pan niech się już teraz nie wtrąca – ja na to. – Pan powinien go przygotowywać do studiów dużo wcześniej, teraz już trochę za późno, teraz proszę go zostawić. – Dobrze, skoro pani tak uważa...

Zdał maturę i to zupełnie dobrze. Umówiłam go ze znajomym filozofem, aby pomógł chłopakowi zorientować się, na czym ta filozofia polega. Nie ' studia, a filozofia właśnie. Po trzykrotnym spotkaniu przy herbacie Marek poszedł na egzamin. Zdał, ale nie dostał się. Piętnaścioro przyjęto, on... był szesnasty. Zupełnie załamany, za moją namową napisał jednak odwołanie.

Jestem na wakacjach. Nagle dostaję telegram: „Jestem filozofem! Marek" I nic więcej.

Teraz co dwa tygodnie przychodzi do mnie do domu. Siada w moim kątku. Ja mu robię herbatę. On opowiada. Marek – a jednocześnie ktoś już zupełnie inny.

No więc, gdyby mnie ktoś zapytał, co robiłam w ubiegłym roku, odpowiedziałabym, że przepracowałam mnóstwo godzin z Markiem. A przecież takich jak on mam zawsze co najmniej kilku. Czasem i 20 osób. Dwa lata temu była np. ponad pięćdziesiątka dzieci, z których każde wymagało indywidualnego prowadzenia w szkole.

Weźmy chociażby niezliczone problemy, związane-z przekroczeniem przez ucznia progu szkoły średniej. Tu przykładem może być...

Dorotka

Rok szkolny zaczął się zaledwie parę tygodni temu. Widzę na korytarzu zapłakaną buzię. Przypominam sobie, że widziałam ją wśród wiszących w gablocie fotografii pierwszoklasistów, którzy przyszli do nas z najlepszymi świadectwami. Jeszcze o nic ją nie pytam, ale już wiem, że ma jakieś problemy z nauką. Kiedy postanawiam poprosić ją na rozmowę, okazuje się, że nie przyszła do szkoły. Po jakimś czasie przyprowadza ją matka, prosto do dyrektora. Dziewczynka płacze. Matka zdenerwowana. Pań dyrektor nie ma akurat czasu i prosi, aby poczekały 15 minut. W tym momencie podchodzi do nich pani woźna: – Jeśli to sprawa uczniowska, może warto najpierw zapukać do tego pokoiku? W ten sposób trafiają do mnie.

Matka rozpacza, że Dorotka nie tylko nie chce chodzić do szkoły, ale nawet rozmawiać na ten temat nie chce. Rzeczywiście siedzi i tu skulona, łezki jej kapią, na żadne moje pytanie nie odpowiada. Z opowieści mamy wynika za to, że córka była piątkową uczennicą, przewodniczącą samorządu, „wszystkim" w swojej szkole. No więc gdzie posłać takie dziecko, jak nie do liceum? A tymczasem tu...

Pytam tylko, czy Dorota dojeżdża. I okazuje się, że jej dni wyglądają teraz, następująco: wstaje o 6.00 rano albo i wcześniej, dochodzi 3 kilometry do autobusu, dojazd do miasta, potem do 15.00 szkoła, znów jazda autobusem, znów te 3 kilometry, a kiedy dociera do domu, jest już wieczór. Przygotowanie do lekcji. Późny wieczór. I spać, bo następnego dnia znów przed 6.00 zadzwoni budzik. A gdzie czas na kino, teatr, dyskotekę?

Po rozmowie z przewodniczącą samorządu jej klasy wiem już też, że Dorotka nie wyjeżdżała nigdzie na wakacje, tylko pomagała rodzicom w gospodarstwie, że z koleżankami nie rozmawia, bo właściwie nie ma o czym („My gadamy o ciuchach, o tym, co było w butiku na Szewskiej, co kto kupił ostatnio na giełdzie książek... Ona jest jakaś dziwna.").

Doprowadziłam do tego, że Dorotka zamieszkała w internacie i zostawiłam ją w spokoju. Wiedząc jednak, że co najmniej połowa uczniów z jej klasy uczyła się angielskiego już wcześniej, a Dorota jest jedną z nielicznych stawiających pierwsze kroki, poszłam jeszcze do bardzo lubianego przez młodzież nauczyciela języka angielskiego: – Mam do pana prośbę, to jest dziecko, które ma trudności... - zaczęłam. – Dobrze, nie ma sprawy, pomogę – brzmiała odpowiedź. Nie minęło wiele czasu i wyszła na piątkę. Nie tylko z angielskiego.

Ot, w taki prozaiczny, nie wymagający specjalnego wysiłku z mojej strony sposób udało mi się zlikwidować problem, który mógł urosnąć do rozmiarów tragedii.

Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że każdy, kto znajdzie się w pierwszej klasie liceum i jest mu źle, stale się mu coś nie układa, powinien poszukać takiego pokoiku jak mój, takiej osoby jak ja. Niech zapuka tam pod pierwszym lepszym pretekstem, nawet z prośbą o igłę z nitką do przyszycia tarczy. A potem wszystko już jakoś pójdzie do przodu. Bo czasem problem spędzający mu sen z powiek może okazać się wcale nie taki trudny do rozwiązania, tyle że... przy pomocy ludzi mojego zawodu.

Wysłuchała
EWA KOSIŃSKA

Jeżeli chcecie dowiedzieć się, jaką funkcję pełni w szkole moja rozmówczyni, szukajcie odpowiedzi na to pytanie w następnym numerze.

Fot. W. Giers



Latać jak Superman

Kto ma odwagę, może fruwać w powietrzu jak Superman – w kanale aerodynamicznym, który jest ostatnim krzykiem mody rozrywkowej, wynalezionym przez Jana St. Germain z Montrealu.

Silnik dieslowski o mocy 435 KM napędza śmigło samolotu DC 3, umocowane na dnie pionowej wieży, z siłą podnoszącą kilkutonowe samoloty. Wystarczy rozpiąć ramiona i już powietrze rzuca jak piłką.

W przestrzeni obitej miękkimi poduszkami amatorzy czekają na wąskiej półeczce pod ścianą, kiedy zahuczy machina i powietrze popędzi w górę strumieniem z szybkością 140 km/h. Poduszka powietrzna unosi skoczka, odczuwającego jakby skok spod chmur tysiąc metrów w dół – a w rzeczywistości zawieszonego tylko parę metrów nad – wirującym śmigłem.

Tylko początkującym zdarza się spaść na siatkę ochronną, albo zostać odrzuconym na miękką wykładzinę ścian. Nikt nie nabije sobie jednak najmniejszego sińca, gdyż poza miękkimi obiciami chroni go od tego specjalny kombinezon.

Huragan śmiechu towarzyszy przebieraniu się w ten strój, wyglądający na amatorze latania jak... pofałdowana skóra słonia! Dopiero w tunelu napełnia się on powietrzem, umożliwiając uzyskanie dostatecznej powierzchni, aby unosić się jak kartka papieru. Pełnię bezpieczeństwa zapewniają ochraniacze kolan i łokci, rękawice ze wzmocnieniami, okulary ochronne i hełm.

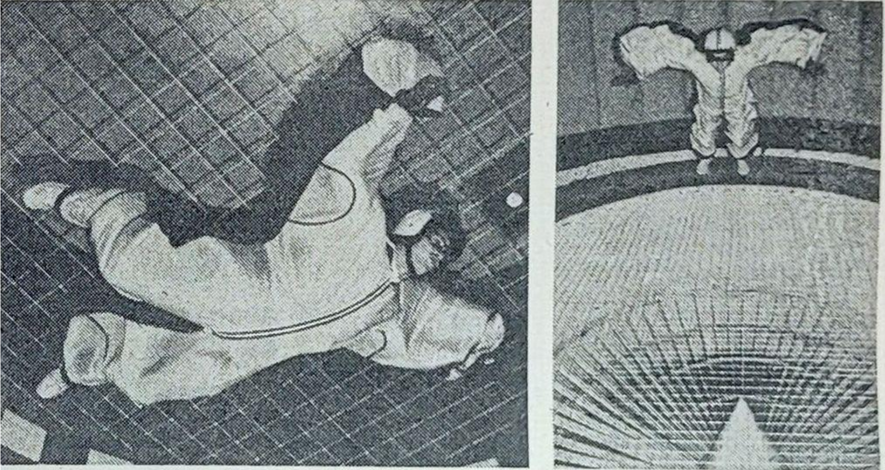
Jeden z amatorów latania opowiadał tak o swoich wrażeniach z pierwszego „lotu":

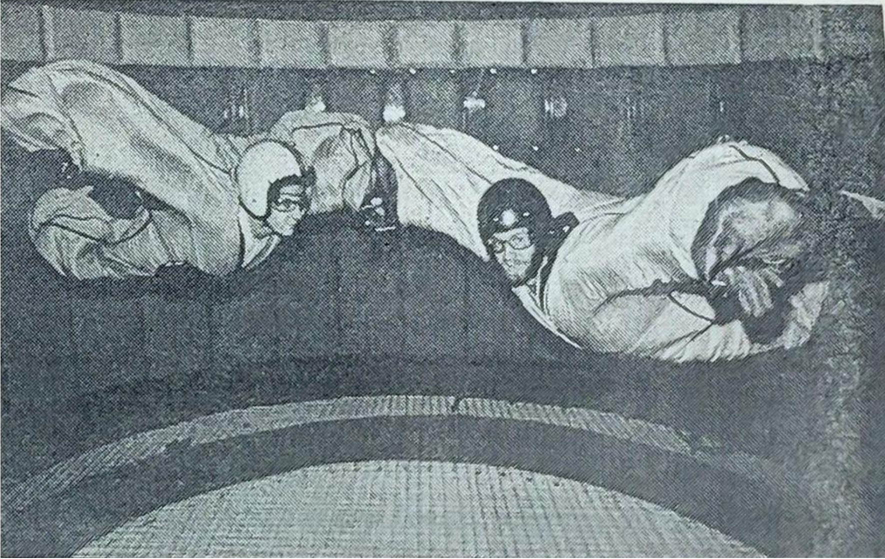
– Śmiałem się, śmiałem i śmiałem. To była jedna z najszczęśliwszych chwil, jakie przeżyłem. Byłem w tunelu tylko pięć minut, a wydawało mi się, że czas stanął. Mięśnie, cały tułów, wszystko było tak zmęczone, jakbym wnosił ciężkie worki na szczyt drapacza chmur. Ale nie czułem się źle, wręcz przeciwnie – cudownie oszołomiony, szczęśliwy! Każdy, kto raz spróbował tej przyjemności, chce jej zaznać jeszcze raz, i jeszcze. Kto ma nieco więcej praktyki, odważa się na salta i inne figury akrobatyczne.

Na wybudowanie pierwszego tunelu potrzeba było 14 miesięcy. Teraz stoją przed nim coraz dłuższe kolejki. chętnych. Trzy takie wieże stoją już na Florydzie, czwartą buduje się obok Miasteczka Disneya, aby dorzucić jeszcze jedną atrakcję do myszki Miki i kaczora Donalda. Przedsiębiorczy Jan St. Germain sprzedał swoją „myśl techniczną" do Japonii.

Komu nie starczy odwagi na fruwanie w powietrzu, może być obserwatorem. Ale za darmo nic. nie ma! Widz płaci za patrzenie dolara, amator latania - dwa dolary za minutę. Mimo to, niektórzy są tu codziennymi gośćmi... **(kg)**

Fot. *„Hobby"*





GWIAZDOZBIÓR

Milosz Kopecki – nie tylko Sztrosmajer



Ogromnie cieszyłam się, że nasza telewizja ponownie wyświetliła czechosłowacki serial „Szpital na peryferiach". Ze względu na kochanego doktora Sztrosmajera-czyli Milosza Kopeckiegó. Udało mi się ubłagać mamę i mimo późnej godziny nadawania filmu, obejrzałam znów każdy odcinek. Był czas, że w różnych gazetach ukazywały się wywiady z twórcami i bohaterami tego filmu, „Świat Młodych" też o nich pisał. Przechowuję wszystkie w formie wycinków, ale... nie dowiedziałam się z nich niestety, w jakich filmach mogłabym obejrzeć mojego ulubionego aktora w innych rolach. Pomóżcie, proszę.

Anka z Puław

Z chęcią Ani pomożemy, a tym wszystkim, którzy nie dysponują, jak ona,, wycinkami, przypominamy najważniejsze fakty z biografii aktora. ,

Milosz Kopecki urodził się w 1922 r. Ukończył szkołę kuśnierską, a następnie uczył się w gimnazjum. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś będzie aktorem. Interesował się bowiem muzyką, a konkretnie teorią tej sztuki. Z teatrem związał się dopiero w czasie II wojny światowej. Należał do podziemnej grupy teatralnej „Tvor". Był rok 1941, kiedy podczas jednego z przedstawień został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Po wojnie wrócił właśnie do aktorstwa – zaczął grać na zawodowej scenie. Najpierw trafił do Studia Teatru Narodowego, a następnie Teatru Realistycznego w Pradze. Grał również w Teatrze Burjana „ABC" i w Teatrze Muzycznym. Od roku 1965 po dziś dzień pracuje w praskim Teatrze na Winogradach....

Ma ogromny dorobek, nie tylko.ról teatralnych, ale także radiowych, telewizyjnych i przede wszystkim filmowych. Pierwszą filmową rolę zagrał jeszcze w 1947 r. Był to film Bożywoja Zemana — komedia „Poszukuję mieszkania".

W Polsce widzieliśmy wiele filmów z tym aktorem. Wymienię tylko kilka tytułów z ostatniego dziesięciolecia. Od czasu do czasu pojawiają się one jeszcze w repertuarze kin. Przy odrobinie szczęścia możecie więc Kopeckiego zobaczyć w „Kto chce zabić króla", „Sześć niedźwiedzi i klown Cebulka", „Jak utopić doktora Moraczka", „Jutro się policzymy, kochanie", „Adela jeszcze nie jadła kolacji". „Ja już będę grzeczny, dziadku". Na pewno natomiast „chodzą" jeszcze dwa nowsze filmy: „Tajemnica zamku w Karpatach" - parodia scieńce-fiction na podstawie „Zamku w Karpatach" Verne'a i komedia obyczajowa „Chrzciny".

W aktorskich doświadczeniach Milosza Kopeckiego - przeważają role w komediach. Właściwie, można by rzec, że „zaszufladkowano" go jako aktora komicznego. Rola doktora Sztrosmajera sprawiła jednak, że dostrzeżono, jak wszechstronne są jego możliwości aktprskie.

A co myśli o swym powołaniu 'do rozśmieszania sam artysta?

- W całym wszechświacie tylko człowiek ma dar śmiechu. Jest to podświadoma obrona przed inną świadomością: śmiercią. Człowiek, nawet taki melancholik jak ja, choćby z tego powodu musi mieć poczucie humoru. Nie należę do ludzi wesołych, ale dzięki temu mogę czasem powiedzieć coś, co ukazuje sprawy od ich śmiesznej strony. Może to czasem nawet dowcipne, ale w zasadzie jestem straszliwie smutny.

Łatwo się domyślić, że artysta, który w ten sposób mówi o sobie i ludziach, za ideał aktora uważa Charlie Chaplina. **(eb)**

Fot. **archiwum**

Zgrzebność stylu folk

Wieloletnie moje czytelniczki wiedzą, że jestem tego stylu (folk - czyli pseudoludowego inaczej mówiąc) gorącą orędowniczką. Co by się bowiem w modzie nie działo, taka niby-ludowa przebieranka zawsze ma w niej swój - raz mały, raz większy - kącik. Co nie znaczy zresztą, że ten styl jest zawsze taki sam. Wręcz przeciwnie-także się zmienia. Te z Was, które śledziły przez parę lat odcinki mu poświęcone, zauważyły pewnie, że ewolucja przebiega w kierunku od wielobarwności do szarości i zgrzebności. Jeszcze kilka lat temu jego podstawą była bardzo kwiecista spódnica, biała bluzka z obszernymi bufiastymi rękawami i kolorowa chustka z frędzlami lub ciemne bolerko, które można było sobie wyszyć koralikami lub nawet cekinami. Dzisiaj (patrzcie na zdjęcie!)-nic z tych rzeczy. Jak kwiatki nawet, to mdłe i burasowate, ale coraz częściej ich miejsce zajmuje (także mało efektowna w kolorycie) kratka, a nawet różne grube materiały z samodziałowej wełny. Dominuje zdecydowanie kolor szary.

Nie znaczy to,-że wdzięku ten styl został pozbawiony. Efekt uzyskuje się przez zestawienie szmatek bawełnianych z rzeczami z grubej wełny, przez w dalszym ciągu bufiaste rękawy - tyle że nie w białej powiewnej bluzeczce, lecz w grubym swetrze, przez dużo rzeczy marszczonych w dalszym ciągu. Zamierzonej zgrzebności dodają także brezentowe torby, prążkowane pończochy, ciężkie półbuty, a nawet sznurowane buciki z cholewami. Mieszczą się w tym stylu np. ciężkie turystyczne buciory do szerokiej spódnicy w kwiatki. Sprawia to trochę wrażenie, jakby... człowiek się ubierał zakładając na siebie cokolwiek ma pod ręką.

I to by.się nawet zgadzało, tyle że ma to być wyłącznie mieszanka ciuchów o charakterze zgrzebnonaturalnym. Ma być swobodnie i z wykluczeniem tego, co zbytnio „ucywilizowane". Żadne bistory, stylony ani inne sztuczne tworzywa nie wchodzą w grę. Ma być swojsko i wiejsko. Przy czym nie chodzi o wieś współczesną, lecz taką, jaką opisywał Reymont.

Że smutnie to wszystko wygląda?! Dlaczego? Myślę, że i takie zgrzebne szarości mają dużo wdzięku. A wygodne to jest naprawdę szalenie. Więc po raz któryś z kolei już Was namawiam - polubcie styl folk!

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych

Wciąż padają nowe rekordy!

KSIĘGA REKORDÓW GUINNESSA PĘKA W SZWACH!

● Kolejny rekord ustanowiono w USA. Dwaj goście hotelu na Florydzie przez 57 godzin grali w karty pod wodą, w basenie hotelowym. Stolik do gry przymocowany był do dna, a rekordziści oddychali za pomocą dostarczanych im stale butli gazowych.

● Pokusie znalezienia się w Księdze Rekordów nie mogą oprzeć się nawet Anglicy, od dawna szczycący się swym spokojem. 160 mil w ciągu trzech dób przejechał niedawno na koniu mieszkaniec Nottingham. Ubrany był w zbroję rycerską o wadze 50 kilogramów...

● 36-letni Australijczyk, pedagog z zawodu i człowiek bardzo poważny, nieopatrznie zgodził się wziąć udział w zawodach.... wypluwania na odległość pestki pomarańczowej. Odbywały się one w australijskim mieście Mildura, gdzie pedagog przebywał akurat z wycieczką, uczniów.

Wyplucie pestki na odległość 15 metrów i 5 cm okazało się zupełną „bombą" i „rekordem światowym". Nazwisko statecznego nauczyciela trafiło do Księgi Rekordów; choć on akurat wcale nie jest tym zachwycony, **(kl)**

Sprostowanie

W numerze 5 „Świata Młodych" w artykule pt. „Szpital Centrum Matki-Polki" wkradł się błąd w zdaniu: „Największy dotąd prywatny dar pochodzi od mieszkanki Łodzi: przekazała ona anonimowo 30 dag (a nie - jak wydrukowano - 3) rodzinnego złota".

Czytelników i zainteresowanych przepraszamy.

Redakcja

Szałwia zamiast ambry

(PAI). W laboratoriach całego świata od dawna poszukuje się wartościowego i taniego surowca, który zastąpiłby drogą ambrę - wydzielinę kaszalota, stosowaną w przemyśle perfumeryjnym. Ostatnio udało się to naukowcom z Mołdawii, którzy wykorzystali w tym celu odpady powstające przy przeróbce szałwii. Nowy produkt doskonale utrwala wszystkie subtelności zapachowe i jest o wiele tańszy niż ambra.

UŚMIECH NUMERU

PANI MĄDRALOWA ogląda w księgarni encyklopedię gospodarstwa domowego.

- Ta książka oszczędzi pani połowę domowej roboty! - zachwala księgarz.

- To ja poproszę... dwie!

★

PAN MĄDRALA zamawia w restauracji obiad i prosi o chleb do zupy. Chleb wydał mu się zbyt czerstwy, więc reklamuje u kelnera:

- Z jakiego dnia jest ten chleb?

- Wczorajszy...

- A czy mógłbym dostać dzisiejszy?

- Owszem, jutro...

ŚWIAT MŁODYCH

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 19 (3949)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska

DSP DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nakład 500 000. Nr.zam. 383/G. N-29

TOMIK

Dziś wracamy do problemów związanych z asteroidami - rojem drobnych stosunkowo ciał obiegających Słońce między orbitami Marsa i Jowisza. Poruszone w korespondencjach sprawy nie wyczerpują tematu. Mam przeto nadzieję, że doczekam się kolejnych wypowiedzi o tych mało zbadanych planetoidach.

PREZES

Misja AMSAT do strefy asteroidów

Karol Meinzer wygłosił na dorocznym Kongresie Międzynarodowej Federacji Astronautycznej IAF referat pt. „Misja AMSAT do strefy asteroidów". AMSAT to nazwa organizacji międzynarodowej, która wysłała już z powodzeniem 10 radioamatorskich SSZ „OSCAR" na orbity okołoziemskie. W roku 1982, gdy powstała możliwość taniego wysłania aparatury naukowo-badawczej, zarząd AMSAT w RFN postanowił skorzystać z okazji, aby wysłać próbnik do strefy asteroidów w celu bliższego zbadania obiektów tego rodzaju, a przez to i pochodzenie systemu słonecznego. Misja ma na celu uzyskanie możliwie dużej informacji o asteroidach, dokonanie bliskiego przelotu w pobliżu wybranego bardziej interesującego obiektu i upadek na powierzchnię innego.

Opuszczenie orbity okołoziemskiej nastąpi przy użyciu napędu chemicznego, który nada próbnikowi prędkość 4 do 6 km/s. Po wyczerpaniu paliwa chemicznego dalszy lot będzie kontynuowany beznapędowo przez okres 1 do 2 lat aż do przybycia do sfery asteroidów. Następnie przy użyciu silnika jonowego sonda zostanie wprowadzona na orbitę jaką mieć będzie badany asteroid. Napęd jonowy umożliwi jeszcze jedną zmianę orbity w celu dosięgnięcia innego asteroldu. Pojemnik startowy o masie ok. 1000 kg, średnicy 3 m i długości ok. 4 m - będzie zawierał w swym wnętrzu próbnik właściwy z aparaturą naukowo-badawczą, silnik z napędem chemicznym i zapasem paliwa, silnik jonowy i koncentrator energii słonecznej. Produkcja energii elektrycznej będzie wynosić 1,5 do 2 kW i zasilać silnik jonowy lub aparaturę naukowo-badawczą w okresach, gdy napęd jonowy będzie wyłączany. Próbnik będzie posiadał również nadajnik radiowy do przekazywania ku Ziemi wyników pomiarów przy użyciu 2 anten nadawczych o średnicy 2 m.

Dariusz Kuchnio (lat 16)
Ul. Łukowska 9 m 130
Warszawa

P.S. Wiadomości zaczerpnąłem z „Astronautyki" nr 1 z 1984 r.

Istnieje bardzo fantastyczny pomysł (o którym TOMIK swojego czasu już pisał) wykorzystania asteroidu do przekształcenia go w... statek kosmiczny. Wnętrze skalistej bryły doskonale nadawałoby się na obszerne pomieszczenie dla licznej załogi. Asteroid zaopatrzony w silniki napędowe (patrz rysunek) mógłby zmieniać swoją orbitę zgodnie z życzeniami załogi

Realizacja misji AMSAT ma być zrealizowana za pomocą zachodnioeuropejskiej rakiety typu „Ariane"

Na dużych asteroidach możliwe jest istnienie atmosfery

MOSKWA (PAP). Astronomowie radzieccy uzyskali dowody na to, że na dużych asteroidach - kamiennych odłamkach, krążących między orbitami Marsa i Jowisza - możliwe jest istnienie atmosfery.

Odkrycia dokonano w obserwatorium w Kazaniu nad Wołgą za pomocą 50-centymetrowego teleskopu-reflektora, połączonego z komputerem. Obserwowano tam jeden z największych asteroidów (średnica 490 kilometrów) - Palladę. W drodze obliczeń ustalono, że mocno rozrzedzona atmosfera Pallady rozprzestrzenia się na kilka tysięcy kilometrów. Jest ona asymetryczna i wyciągnięta w przeciwną stronę od Słońca.

Spory na temat możliwości istnienia atmosfery asteroidów trwają już prawie dwa wieki, od czasu odkrycia pierwszych takich małych planet. Większość astronomów przypuszcza, że są to pozostałości hipotetycznej planety, która rozpaść się miała w następstwie kosmicznej katastrofy. Jednakże rozmiary odłamków są zbyt małe, by utrzymać nawet pozostałości pierwotnej atmosfery, jeśli taka istniała.

Według najnowszych danych radioastronomii, powierzchnia dużych asteroidów pokryta jest warstwą materiału gliniastego ze znaczną domieszką wody. Autorzy nowego odkrycia nie wykluczają, że atmosfera Pallady jest parą powstającą podczas- jej bombardowania przez inne asteroidy bądź duże meteoryty.

„BLISKIE SPOTKANIA" Z... ASTEROIDAMI

W naszym układzie planetarnym pomiędzy Marsem a Jowiszem krążą „małe planety" zwane planetoidami lub asteroidami. W1801 r. odkryto pierwszą planetoidę o średnicy około 770 km noszącą nazwę Ceres. Do tej pory zaobserwowano ponad 2000 podobnych ciał niebieskich. Wiele spośród nich dokładnie zbadano, określając ich drogę wokół Słońca. Ppnadto istnieje prawdopodobnie około 40 000 planetoid. Możemy stwierdzić z całą pewnością, że orbity niektórych planetoid wykraczają poza obszar pomiędzy Marsem a Jowiszem i wchodzą w niebezpieczne sąsiedztwo Ziemi.

Wśród poznanych znajduje się planetoida Eros, która według danych radzieckich jest blokiem o dł. 22 km i szerokości 6 km. Planetoida ta okresowo zbliża się do Ziemi na odległość 22 mln km. Choć odległość ta wydaje się duża, to jest ona równa tylko 0,15 jednostki astronomicznej (tzn. śred. odległości Ziemi od Słońca). W 1949 r. odkryto planetoidę Ikar o średnicy 1 km. W czerwcu 1968 r. Ikar znalazł się w odległości około 7 mln km od naszej planety. Jeszcze bliżej położona jest orbita planetoidy Hermes. Dnia 30 października 1937 r. minęła ona Ziemię w odległości kilkuset tys. km, a więc nie większej niż wynosi odległość Księżyca od Ziemi. Możemy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Ziemia i Hermes (planetoida o śred. 500-800 m), nie rozminęły się na skrzyżowaniu orbit o kilka godzin.

Jeśli chodzi o skutki trafienia Ziemi przez asteroid, to zależałyby one od okoliczności w jakich nastąpiłoby zderzenie. Znacznie poważniejsze byłyby skutki zderzenia centralnego (tj. wzdłuż osi łączącej ich środki ciężkości) niż zderzenie po stycznej. Przy czym w tym drugim wypadku byłoby ważne czy asteroid zetknąłby się z Ziemią lecąc zgodnie z jej ruchem obrotowym, czy też w kierunku przeciwnym.

Dla ciekawości mogę powiedzieć, że krater Arizona powstał przez upadek meteorytu o wadze 50 000 ton. Częstotliwość takiego przypadku jest bardzo mała i wynosi jeden na 100 tys. lat. Z obliczeń wynika, że gdyby nastąpiło zderzenie Ziemi z planetoidą Juno, doprowadziłoby to do powstania krateru o średnicy aż 3300 km. Miejmy nadzieję, że taka sytuacja nigdy się nie zdarzy.

Dariusz Jelski
ul. Rynek Kilińskiego 7
16-010 Wasilków

Mama miała wolny dzień i wracałam ze szkoły sama, a kiedy otworzyłam drzwi i w sieni zmieniałam buty na kapcie, usłyszałam jego głos a potem mamy:

- Błędny rycerz i wieczny tułacz. Don Kichot bez Sancha Pansy Jeździec bez głowy. Czarny Piotruś. Sokole Oko i wszystkie Skórzane Pończochy. Piotruś Pan. Staś Tarkowski i Robinson Cruzoe. Cholera - zaklęła i ucichła.

Mężczyzna odchrząknął, a potem wstał i zaczął się przechadzać po kuchni. Podłoga skrzypiała, pomyślałam, że musi być duży i ciężki, bo nie pamiętałam, żeby podłoga w kuchni kiedykolwiek skrzypiała. Ale nie miałam czasu na rozmyślanie o jego wadze, bo przymknąwszy oczy rozpamiętywałam litanię nazw i przezwisk, jakie nadała mu moja mama. Lista brzmiała świeżo, tajemniczo i wspaniale. Najbardziej podobali mi się: wieczny tułacz i jeździec bez głowy, choć jeździec bez głowy napawał mnie leciutkim wstrętem.

- Uspokój się - odezwał się mężczyzna. - Nie można tego tak przyjmować. -

- Tak sądzisz?

Wstałam ze skrzynki i zaczęłam się cichutko wycofywać. Miałam zamiar wyjść przed dom, a potem z tupotem wpaść do środka. Ale to mi się nie udało.

Z butami w rękach, na palcach, cichutko wysuwałam się z domu i tak pożeglowałam prościutko w otchłań zdumienia mojej babki, która stała przy krzewach róż. Może oglądała je przez chwilę, ale gdy wyszłam z domu, patrzyła prosto na mnie, na moje nogi w białych skarpetkach ostrożnie stąpające po obłoconym ganku, po rozsypanej i nawilżonej ziemi, po bladozielonych łodyżkach - bo tego dnia właśnie babka wyjmowała ze skrzynek rozsady, by przenieść je do gruntu, a czyniła to na ganku.

Spojrzenie mojej babki przeleciało po mnie kilkakrotnie, z początku pełne osłupienia, potem zrozumienia. Zrobiło mi się gorąco, bo wiedziałam co się zaraz stanie, ale babka odwróciła się do róży i powiedziała tylko:

- Włóż buty i ani mru-mru.

Lecz musiała wiedzieć, że podsłuchiwałam. I widać chciała się z tym pogodzić.

Przysiadłam na ławeczce, zakładałam buty i z niedowierzaniem spoglądałam na plecy babki, okryte pstrokatym swetrem, i na jej siwą głowę z siwym kokiem, który sobie codziennie przypinała, i jeszcze ciągle nie śmiałam uwierzyć, że podsłuchiwanie zostało mi darowane.

Obuta, podeszłam do babki, mocno naprężając pośladki, bo babka miała rękę twardą i spracowaną, a biła znienacka i z całej siły, i zawsze w to samo miejsce. Ale dłonie babki spokojnie zbliżały się do pączków i zatrzymywały tuż przed nimi, jakby z jednej strony chciały dotknąć tego rośnięcia, które lada dzień miało się zmienić w listki, a z drugiej obawiały się je uszkodzić. Jakby po. prostu zatrzymywały się tuż przed dotknięciem i zadowalały liczeniem, ile tej zieleni będziemy miały tego roku.

- Tam ktoś jest - powiedziałam, bo nie mogłam dłużej milczeć i wolałam być bita od razu, kiedy się tego spodziewałam, a nie po jakimś czasie, kiedy zapomnę o podsłuchiwaniu i nagły klaps wyda mi się krzywdą, i dlatego będzie dwa razy bardziej bolesny.

- A jest - przytaknęła babka. Zacisnęła usta i usta zrobiły się malutkie, jakby ktoś je zaszył, i jakby naokoło z niedbałości pozostawił tysiące zmarszczek. Babka nie założyła sztucznej szczęki. Nigdy nie zakładała jej do ogrodu.

Nie ustępowałam.

- Jakiś pan.

- Aha.

Dotknęła jednak któregoś z pączków - może ją zdenerwowałam i zapomniała o ostrożności. Syknęła z cicha.

- Jeździec bez głowy - spróbowałam znów i jeszcze raz mdląco słodki smak wstrętu odezwał się w okolicy żołądka.

- Bez głowy - przytaknęła mi babka i nagle rzuciła mi spojrzenie, jednocześnie poważne i pełne lęku, którego przyczyn nie rozumiałam, ale który natychmiast obudził we mnie chęć do płaczu. Może nawet chlipnęłam.

- Idź tam - powiedziała babka. - Przywitaj się. Na pewno się ucieszą. No idź, idź. -

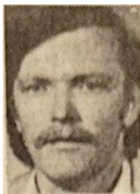
Odwróciłam się i wtedy dosięgnął mnie klaps. Z jakiejś przyczyny babka darowała mi podsłuchiwanie, ale nie mogła darować kary. Podskoczyłam, złapałam się za pośladek, a potem wyprostowałam i ruszyłam do domu, pełna wściekłości i pragnienia zemsty. Bo babka znów mnie zaskoczyła, jak zwykle.

Cdn.



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW 15

PIERWSZE WIELKIE TRIUMFY TECHNIKI



BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST **RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ**

Pierwsze dwudziestolecie lat drugiej połowy XIX wieku to okres największej potęgi Wielkiej Brytanii, nadal rozbudowującej swoje imperium kolonialne, które pod koniec tego stulecia miało objąć czwartą część globu, panującej nad wszystkimi morzami i wywierającej silny wpływ na życie i politykę wielu krajów, także oficjalnie niezależnych, na wszystkich kontynentach. Nadawała ona ton ówczesnemu rozwojowi cywilizacji. Natomiast Francja, choć ciągle jeszcze starała się odgrywać rolę wielkiego mocarstwa, traciła na znaczeniu, również w zakresie wynalazczości. Coraz poważniej liczyły się Stany Zjednoczone i Niemcy. Pierwsze głównie w gospodarce i technice, nie biorąc jeszcze większego udziału w polityce światowej. Do przyśpieszenia procesów rozwojowych w tym rozległym i zasobnym w bogactwa naturalne kraju przyczyniło się zwycięstwo uprzemysłowionej nowoczesnej Północy nad zacofanym w stosunku do niej Południem w wielkiej wojnie domowej. Niemcy zaś — po rozgromieniu Austrii i Francji - zjednoczyły się w potężne, także pod względem przemysłowym, mocarstwo. Ale wielu spośród licznych w tym czasie wynalazców niemieckich nadal realizowało swe pomysły w Anglii, gdzie sytuacja sprzyjała nowościom technicznym. Wreszcie, na Dalekim Wschodzie, zacofana Japonia zerwała z tradycyjnym sposobem życia i przystąpiła do wielkiej pogoni za rozwiniętymi krajami, ucząc się od nich i przyswajając sobie co tytko się dało z najnowszych osiągnięć technicznych.

Początek drugiej połowy ubiegłego wieku to epoka wielkich triumfów techniki - pierwszych poważnych sukcesów człowieka w ujarzmianiu i przystosowywaniu do swych celów otaczającego go świata. Rozrastająca się na coraz większe połacie globu sieć kolejowa wkroczyła równieżna tereny górskie-

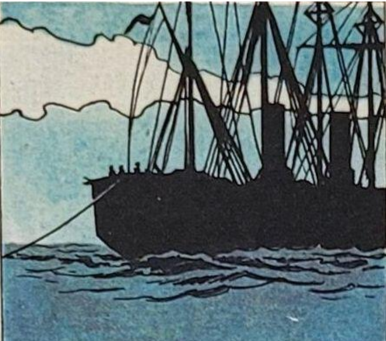


poprowadzono pierwsze jej linie przez Alpy, a niebawem i przez Andy w Ameryce Południowej. Wymagało to ogromnych robót inżynierskich, m. in. drążenia poprzez masywy skalne wielokilometrowych tuneli. Użyto do tych prac świdrów napędzanych sprężonym powietrzem, a z czasem także dynamitu, wynalezionego w 1867 roku przez Szweda Alfreda Nobla.

Szczególnie ważną rolę odgrywała kolej na rozległych, słabo zaludnionych obszarach Ameryki Północnej, gdzie ułatwiała osadnictwo, torowała drogę cywilizacji i sprzyjała ożywieniu życia gospodarczego. W 1869 roku ukończono tam budowę pierwszej linii transkontynentalnej, łączącej wybrzeża Atlantyku i Pacyfiku. Na kolejach amerykańskich, gdzie trasy były długie i podróże trwały nierzadko po kilka dni, wprowadzono wagony sypialne, a po pewnym czasie także restauracyjne. Tam też zaczęto stosować automatyczny hamulec kolejowy, oparty na działaniu sprężonego powietrza, wynaleziony w 1872 roku przez George'a Westinghouse'a. Hamulec ten znakomicie zdał egzamin w praktyce i szybko rozpowszechnił się na całym świecie.

W Londynie, największym i najludniejszym wówczas mieście świata, poważne kłopoty zaczął sprawiać uliczny ruch kołowy. Żeby temu zaradzić, otwarto tam w 1863 roku pierwszą linię miejskiej kolei podziemnej. Nazwano ją „Metropolitan" - od niej pochodzi popularna nazwa tego środka komunikacji: metro.

Podobnie jak sieć kolejowa, rozrastała się - zazwyczaj towarzysząca jej, ale i podążająca własnymi szlakami - sieć telegraliczna. Od połowy ubiegłego wieku zaczęto układać podmorskie kable telegraficzne o coraz większej długości. Wreszcie, porwano się na zadanie nie lada - postanowiono zaprowadzić stałą łączność telegraficzną przez Atlantyk. Po kilku latach żmudnych i bezskutecznych wysiłków, udało się to ostatecznie w 1866 roku. Użyto wówczas do tego celu największego statku świata, prawdziwego pływającego kolosa o nazwie „Great Eastern", zbudowanego w Anglii w 1858 roku. Mógł on zabrać 6 tysięcy pasażerów i 18 tysięcy ton ładunku, oraz zapas węgla pozwalający na odbycie rejsu do Australii i z powrotem bez uzupełniania paliwa. Był to jeden z cudów ówczesnej techniki, ale ułożenie kabla transatlantyckiego było jego jedynym praktycznym sukcesem. Zbudowany „na wyrost", ponad potrzeby-epoki, nie był w stanie zarobić na swe utrzymanie - nigdy nie miał kompletu pasażerów, ani pełnych ładowni i doprowadził do bankructwa kolejne użytkujące go towarzystwa.



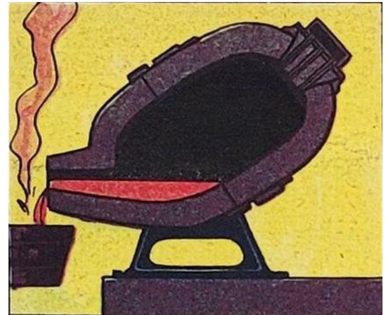
Największym ówczesnym sukcesem w dziedzinie poprawiania natury było zbudowanie w 1869 roku Kanału Sueskiego, łączącego Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Twórcą jego był dyplomata francuski Ferdinand Lesseps, nie przypadkowo, bo właśnie umiejętności dyplomatyczne bardziej były potrzebne przy realizacji tego przedsięwzięcia niż inżynierskie. Musiał on pokonać liczne przeszkody piętrzone przez Wielką Brytanię, niechętną tej francuskiej inicjatywie. Kanał znacznie skrócił drogę morską z Europy (szczególnie z krajów śródziemnomorskich) na Ocean Indyjski i Daleki Wschód.

. W połowie XIX wieku poważnych postępów dokonała inżynieria budowlana. Wznoszono coraz więcej żelaznych mostów. Od lat czterdziestych zaczęto stawiać mosty kratowe, które w ciągu paru dziesięcioleci bardzo się rozpowszechniły. Niebawem przerzucano je ponad wielkimi rzekami, nie tylko w Europie i Ameryce Północnej, ale także na innych kontynentach. Nauczono się solidnie posadawiać filary mostowe - od połowy stulecia używano do tego kesonów, żelaznych otwartych od dołu cylindrów. Wypełniano je sprężonym powietrzem, które powstrzymywało wodę od wdzierania się do ich wnętrza. Dzięki temu mogłl w nich pracować robotnicy. Wykonywano w dnie rzeki wykopy na tyle głębokie, aby oprzeć fundamenty filarów na mocnym gruncie (najchętniej na skale). Jednym z pionierów żelaznych mostów kratowych i metody kesonowej był nasz rodak, Stanisław Kierbedź, twórca wielu tego rodzaju budowli na rzekach imperium rosyjskiego.



Drugą ważną nowością w budownictwie były budynki szkieletowe. Kiedy wznoszono wysokie domy z cegieł, mury ich najniższych kondygnacji musiały być nadzwyczaj grube aby przenieść ciężar całej budowli. Wymagało to ogromnej ilości cegły i przysparzało kłopotów architektom, gdyż na dolnych piętrach więcej było murów niż przestrzeni do wykorzystania. Żeby temu zapobiec, zaczęto wznosić - jako zasadniczą konstrukcję nośną wysokich budynków - szkielet ze słupów i łączących je poziomych belek. Początkowo wykonywano go z żeliwa, czyli lanego żelaza. Szkielet przenosi obciążenia od wszystkich kondygnacji bezpośrednio na fundamenty. Ściany na poszczególnych piętrach nie mają więc żadnych obciążeń, poza własnym ciężarem. Można więc je murować na grubość jednej, czy najwyżej dwóch cegieł, zależnie od klimatu - tak by zapewniały ciepło wnętrzu budynku.

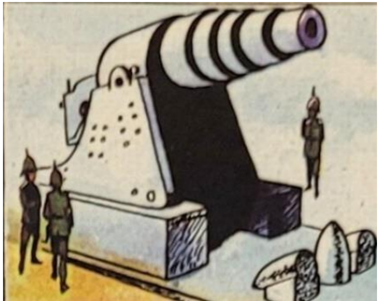
Te nowe sposoby budowania zyskały jeszcze większe możliwości dzięki zastosowaniu w budownictwie nowoczesnych materiałów konstrukcyjnych — stali i żelbetu. Stal znano oczywiście od wieków, ale wytwarzano ją w niewielkich ilościach (sporządzano z niej głównie klingi mieczy i szabel). Dopiero w 1856 roku inżynier angielski Henry Bessemer wynalazł metodę pozwalającą na jej masową i nieporównanie szybszą produkcję. Polegała ona na przedmuchiwaniu tzw. surówki, czyli płynnego żelaza, silnym strumieniem powietrza w specjalnym wielkim naczyniu (konwertorze), z uwagi na swój kształt zwanym potocznie „gruszką Bessemera".



Żeby zrozumieć jak epokowy był to wynalazek, trzeba odwołać się do liczb. Otóż, przetopienie 5 ton surówki na kowalne żelazo (będące czymś w rodzaju miękkiej stali) sposobem tradycyjnym, trwało około 10 dni. Po udoskonaleniach procesu hutniczego, wprowadzonych w Anglii pod koniec XVIII wieku - w trakcie rewolucji przemysłowej – zabierało to półtora dnia. Metoda Bessemera skracała rzecz całą do 20 minut!

Przystosowana niebawem dO gatunków rud żelaza najobficiej występujących w Europie, już w latach sześćdziesiątych zapewniła dostatek stali krajom najbardziej rozwiniętym, zaspokajając stale rosnące na nią zapotrzebowanie. Najwięcej jej szło na szyny szybko rozbudowywanej sieci kolejowej. Ale już w 1874 roku stanął w St. Louis na Missisipi pierwszy most stalowy, a pod koniec stulecia wznoszono, głównie w Ameryce Północnej, drapacze chmur o stalowych szkieletach.

Sporo stali zużywał przemysł zbrojeniowy. Armie europejskie zaczęły się w tym czasie posługiwać działami o stalowych gwintowanych lufach, co znacznie zwiększyło donośność i celność artylerii. Przodowali w tym Prusacy, którzy w 1870 roku użyli przeciw Francji stalowych armat ładowanych od



tyłu (do tego czasu pociski wpychano do nich przez lufę). Stal znalazła też zastosowanie w karabinach wielostrzałowych, które w latach sześćdziesiątych pojawiły się w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech.

W połowie lat pięćdziesiątych zaczęto budować opancerzone stalą okręty wojenne, tzw. pancerniki. Do pierwszego ich boju doszło w 1862 roku, podczas wojny domowej w Stanach Zjednoczonych. Poszukiwania sposobów skutecznej walki z takimi jednostkami doprowadziły do wynalezienia torpedy morskiej. Pierwsze udane z nią próby przeprowadzono w 1867 roku, w boju użyto jej w końcu lat siedemdziesiątych.

W tym czasie doszło też do powstania innej ważnej broni — karabinu maszynowego. Pierwsza jego wersja była wielolufowa. Użyto jej w 1864 roku, w amerykańskiej wojnie domowej. Twórcą jej był Richard Gatling. Podobnymi wielolufowymi karabinami maszynowymi posługiwali się Francuzi w wojnie z Prusami w 1870 roku. Karabin maszynowy nowoczesnego typu powstał w 1884 roku. Skonstruował go Amerykanin Hiram Maxim, działający

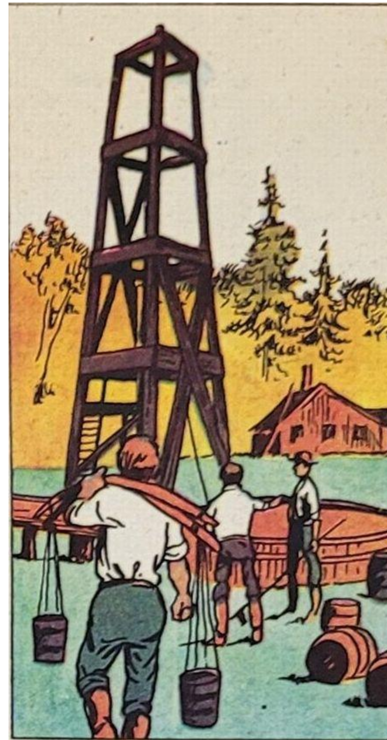


w Wielkiej Brytanii. Broń tę zastosowano po raz pierwszy w wojnach kolonialnych w Azji i w Afryce w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku.

Drugim nowoczesnym materiałem budowlanym, zrodzonym w tej epoce, był żelbet, czyli beton wzmocniony żelaznymi prętami. Belka żelbetowa jest znacznie wytrzymalsza od betonowej, gdyż owe pręty przenoszą naprężenia rozciągające, na które sam beton (podobnie jak każdy kamień) jest mało odporny — w przybliżeniu dziesięciokrotnie mniej niż na ściskanie. Spośród kilku pionierów żelbetu działających w połowie XIX stulecia we Francji i w Anglii, największy rozgłos zyskał Francuz Joseph Monier, który ostatecznie opatentował ten wynalazek w 1867 roku. Żelbet ma wiele zalet. Można z niego wznosić budowle o dowolnych niemal kształtach, a przy tym jest znacznie tańszy od stali. Nic dziwnego, że od końca XIX wieku po dziś dzień odgrywa w budownictwie niezwykle ważną rolę.

W połowie ubiegłego stulecia narodziły się inne jeszcze nowe materiały, ważne w nowoczesnej technice i w życiu codziennym. Jednym z nich była guma, którą nauczono się wytwarzać z kauczuku — substancji wydzielanej przez pewnego gatunku drzewa podzwrotnikowe, sprowadzanej do Europy z kolonii już od połowy XVIII wieku. Drugim — pierwsze tworzywo sztuczne, zwane parkesiną od nazwiska wynalazcy Alexandra Parkesa. Na światowej wystawie przemysłowej w Londynie w roku 1862 przedstawił on wykonane z parkesiny przedmioty codziennego użytku - grzebienie, guziki, pudełka itp. Wytwarzanie parkesiny okazało się jednak zbyt kosztowne i wkrótce go zaniechano. Pierwszym tworzywem sztucznym, które znalazło powszechne zastosowanie, stał się celuloid wynaleziony przez Amerykanina Johna Hyatta w 1870 roku.

Sięgnięto również po nowy surowiec pod ziemią. Zaczęto wydobywać i spożytkowywać ropę naftową. Jednym z pionierów tej nowej gałęzi przemysłu był nasz rodak, Iwowski aptekarz Ignacy Łukasiewicz, wynalazca lampy naftowej (1863). W 1854 roku założył on w Bóbrce koło Krosna pierwszą na świecie kopalnię „oleju skalnego", który przetwarzał

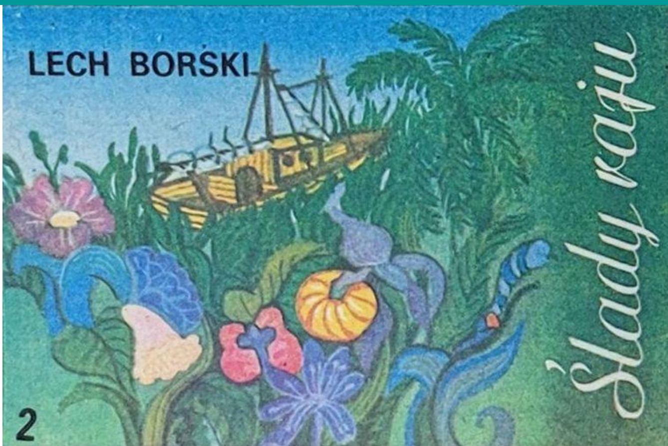


w urządzonych przez siebie destylarniach na naftę, smary i oleje do maszyn, oraz asfalt. Początkowo, po prostu kopano doły i czerpano ropę, która się w nich gromadziła. Wiercenie głębokich szybów naftowych zapoczątkował w 1859 roku Amerykanin Edwin Drake w Pensylwanii.

Na złoty wiek ropy naftowej trzeba było jeszcze poczekać - nastał on dopiero pod koniec XIX wieku, kiedy narodziła się motoryzacja. Tymczasem, w 1860 roku, wynaleziono inny ważny element, który miał się przyczynić do jej powstania — silnik spalinowy. Na razie był to silnik gazowy, jego paliwo stanowił ten sam gaz, który używano do celów oświetleniowych. Nowy środek napędu szybko znalazł zastosowanie w przemyśle.

Z innych zdobyczy ówczesnej techniki wypada wymienić przede wszystkim pośpieszną rotacyjną (wyposażoną w obracające się walce) maszynę drukarską, dzięki której można było wydawać poczytne gazety w wielotysięcznych nakładach, oraz maszynę do szycia, produkowaną i sprzedawaną na użytek domowy już od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Opanowując i przekształcając Ziemię i przyrodę, tworząc nowe materiały dla zaspokojenia swych rosnących potrzeb, nasi przodkowie z początków drugiej połowy XIX stulecia mogli dumnie i z ufnością spoglądać w przyszłość. Możliwości techniki zdawały się nie mieć granic, a urzeczywistnienie najbardziej fantastycznych pomysłów tylko było kwestią czasu.



Wreszcie on sam się domyślił. To było ostatniego dnia i ostatniej godziny. Siedziałam w przedpokoju na walizce i już zaczynałam podróżować, bo zawsze marzyłam o podróżach, gdy usłyszałam go, po raz pierwszy od kilku dni podnoszącego głos:

- To przez te ogrody, prawda?

Mama milczała.

Przyniósł tego dnia róże, ogromne i czerwone, dlatego od razu wydały mi się pożegnalne. Zwykle przynosił skromniejsze kwiaty. Ten wspaniały pęk purpurowych róż walał się na stole.

- Przez ogrody - powiedział. - Bałem się, że tak będzie.

Mama nadal się nie odzywała.

- Przecież nie mogę walczyć z ogrodami - powiedział z wyrzutem i słyszałam, jak ciężko usiadł na krześle. - Przecież to bez sensu. Posłuchaj...

A wtedy mama odezwała się:

- Tak, tak...

Tak, tak — wcale go nie słuchała, po prostu zarejestrowała jego głos i powiedziała to: tak, tak, żeby nie być nieuprzejmą, ale nie słyszała ani słowa z tego, co mówił. Była nieobecna. I on to zrozumiał. Już się nie odzywał. Był dobrym, wrażliwym człowiekiem i wiedział, że nie wygra z ogrodami. Chorował. Kiedyś pracował w lasach i kochał je, a potem zachorował i musiał przenieść się do biura i blisko lekarzy, nie mógł nic na to poradzić.

Siedziałam w przedpokoju na walizce i trochę płakałam, bo było mi go żal, a trochę już podróżowałam, przez most i przez lasy.

A potem on powiedział, chyba już tylko po to, żeby się odezwać:

- Zawsze możesz wrócić.

Nie wierzył w to, że wrócimy.

- Tak, tak - odparła mama.

Lubiłam męża mojej mamy, ale lubiłam też podróżować. Nigdy do tej pory nie podróżowałam, gdyż mama uważała, że jestem chorowita. Nigdy nie miałam prawdziwej podróży, a już dość długo miałam męża mojej mamy. Wybrałam podróż. Ale w ostatniej chwili zrobiło mi się go naprawdę żal, tego mężczyzny, który zostawał sam w miejskim mieszkaniu, pobiegłam do pokoju, żeby go uściskać. Przygarnął mnie i szepnął, że jeżeli będzie mi źle, jeśli tylko zapragnę, mam go natychmiast wezwać, a on się od razu pojawi.

- Zapamiętaj - nalegał. - Zapamiętaj to dobrze.
- Tak, tak - powiedziałam.
- Zapamiętasz?

Zapamiętałam. Zaraz potem wyjechałyśmy.

W osadzie miałyśmy dom. Przez całą drogę zastanawiałam się, czy będziemy mieszkać w szałasie, czy też w namiocie rozbitym pośrodku jakiegoś ogrodu. Wolałabym szałas. Ale miałyśmy dom, niewielki, lecz wygodny, drewniany, z dachem pokrytym czerwoną dachówką. W domu żyła moja babka, której nie pamiętam. Byłyśmy we trzy, i każda z nas miała pokój dla siebie, i każda wybrała sobie kawałek ogródka, pięknego, choć w osadzie nasz ogród w ogóle się nie liczył.

Jesienią poszłam do szkoły. Moja mama w niej uczyła. Byłyśmy same.

W kilka miesięcy później przyjechał mój ojciec.

Był wysokim, szczupłym, lekko siwiejącym mężczyzną o twarzy nieco zanadto ponurej, bym mogła go polubić od pierwszej chwili. Trwała już wiosna, a ojciec nosił granatową kurtkę, narzuconą na gruby, czarny sweter. Prawie zawsze chodził tak ubrany.

Dokończenie na str. 7